Rok 1900. Lwów, 22. lipca. Nr. 41.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY I LITERACKI
ILLUSTROWANY
wychodzi każdej niedzieli.

Redaktor: Klemens Kołakowski.

Prenumerata z przesyłką pocztową: w Austro-Węgrzech rocznie K 16, półrocznie K. 8, kwartalnie K. 4; — w Rzeszy niemieckiej rocznie mk 16, półrocznie mk 8, kwartalnie mk. 4; — w innych krajach europejskich rocznie franków 20, półrocznie fr. 10, kwartalnie fr. 5; — w Ameryce północnej rocznie 4 dolary, półrocznie 2 dol.; — w południowej rocznie franków 25, półrocznie fr. 13. — Prenumeratę przyjmują: Administracya „Tygodnika Narod.“ we Lwowie, oraz wszystkie księgarnie i Biura dzienników. Numer pojed. 40 hal.

Ogłoszenia: po 12 halerzy od wiersza petitu w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem; ogłoszenia kilkurazowe ze stosownym opustem. **Doniesienia** w rubryce „Nadesłane“ po 30 halerzy od wiersza. **Drobne ogłoszenia** po 3 halerze od wyrazu. — Załączniki do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzemplarzy. — Ogłoszenia przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi i Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Klonowicza l. 3.

Treść Nr. 41:

Od Wydawnictwa.

Niezwykłe i — powiemy szczerze — w obecnym czasie letnim niespodziewane powodzenie, jakie ze strony społeczeństwa spotkało „Tygodnik Narodowy“ pod nową tegoż redakcyą, wzmacnia nasze przekonanie, iż pismo takie jest wypływem rzeczywistej potrzeby klas inteligentnych w kraju.

Nie dla zysków materyalnych, ale z zamiłowania sprawy narodowej stanąwszy do pracy, pragniemy wszelki sukces finansowy obracać na podniesienie wartości pisma pod względem treści i formy. Pierwsza niechaj mówi sama za siebie; co do drugiej, dzielimy się wiadomością, że, oprócz zaprowadzenia z dniem dzisiejszym okładki na każdy zeszyt, postaraliśmy się o ulepszenie działu illustrowanego tak, iżby mógł stanąć na wysokości dzisiejszych wymagań sztuki reprodukcyjnej.

Nie nasza to zasługa, ale publiczności polskiej, co tak żywo zainteresowała się wydawnictwem i niezwykle rosnącą liczbą prenumeratorów umożliwia nam, mimo ogromnych kosztów, przedsiębranie dalszych wkładów i ulepszeń.

Staraniem naszem będzie, usprawiedliwić to zaufanie i życzliwość społeczeństwa zużytkować w tym jedynie kierunku, iżby „Tygodnik Narodowy“ stał się odbiciem życia publicznego i umysłowego ruchu Polaków w Galicyi, a wiernym towarzyszem myśli i uczuć rodzin polskich w tej dzielnicy Ojczyzny naszej.

Bronisław Junosza

Uwagi polityczne.

I.

Zmysł rozumnej polityki dawno przestał być udziałem narodu polskiego, jak to wskazują dzieje. W literaturze naszej niema prawie rozpraw politycznych o szerszym zakroju, a nasze dziennikarstwo okazuje rażące braki na polu wykształcenia politycznego. Szczególnie w ostatnich czasach uderza powierzchowność polskiej prasy w omawianiu tak ważnych — bądź co bądź — dla nas objawów polityki zagranicznej. Mniej więcej do lat 80, dopóki trwało napięcie patryotyczne, wywołane przez ruch 63. roku, prasa nasza w sądzeniu tych objawów polityki zagranicznej (a przynajmniej rosyjskiej), jeżeli nie stała na wysokości swego zadania, przecież była o wiele wrażliwszą, czujniejszą. — Dziś w omawianiu spraw obcych jest kompletny brak myśli przewodniej i niedokładne oryentowanie się w tej subtelnej gmatwaninie stosunków i interesów, jaką jest tegoczesna międzynarodowa polityka.

Niemniej jednak (niby dla zasady, że o tem się najwięcej mówi, co się najmniej zna), dzienniki nasze gorliwie uprawiają niwę wielkiej europejskiej polityki, przeważna część jednak tych elaboratów są to rzeczy bardzo słabe; albo wprost sklecone z obcych gazet, albo sztucznie przybranym tonem pokrywające swą nicość. Podczas gdy prasa każdego narodu uważa za swój obowiązek osądzać sprawy obce z punktu widzenia własnych interesów narodowych, my zadawalamy się opiniami, przepisywanemi z wiedeńskich gazet i śmiem twierdzić, że „własnego“, oryginalnego poglądu na politykę zagraniczną nie posiadamy. Dziwić się nieraz należy, czytając niektóre nasze artykuły, jak mógł Polak przyjść do takich przekonań, z apodyktyczną pewnością siebie wygłaszanych, a stojących w rażącej, że nie powiem zabawnej, sprzeczności z interesami narodu i kraju. Otóż, uświadomienie polityczne naszej prasy jest tak słabe, iż gdy zajdzie jakiś doniosły wypadek polityczny na kuli ziemskiej, nie mamy gotowego kryteryum z punktu narodowego, któreby nam pozwalało osądzić, o ile ten fakt jest dla nas ważny i w skutki brzemienny, lecz oryentujemy się w sytuacyi podług opinij obcych, a one przecież najczęściej muszą być zasadniczo różne od stanowiska, które powinniśmy zająć w tej sprawie. Następnie zaś, albo obstaje się — dla konsekwencyi — przy pierwszem zdaniu, albo znów zmienia się je z godną podziwu łatwością. A więc z jednej strony to czucie, ten instynkt polityczny, który odrazu wskazuje n. p. Francuzom, Anglikom i Niemcom, gdzie leży ich interes, jest u nas słabiuchny, z drugiej zaś znajomość historyi i stosunków politycznych, jest niewystarczającą i nie znać wcale, aby była pewna metoda w ich pojmowaniu. Tymczasem dopiero połączenie tych rzeczy: trafnego instynktu politycznego, wynikającego ze zrozumienia interesów narodowych, studya specyalne, i racyonalna metoda historyczna, zdolne są wytworzyć rozumną opinię w społeczeństwie, której wyrazem winna być prasa.

Mimo przeświadczenia, że wszystkie objawy polityczne muszą być uwarunkowane sprawami ekonomicznemi, mimo, iż wiemy doskonale, że racyonalny sąd o jakimś wypadku politycznym musi być określeniem stosunku interesów, które ten fakt spowodowały, do naszych, nie możemy się pozbyć niedorzecznej ideologii i powierzchowności sądów politycznych. A nietylko nie widzimy na dalszą metę, nietylko nie pochwytujemy nici, łączącej wypadki zaszłe dalej od nas, ale nawet kwestye, tak blisko nas dotyczące, jak stosunek Polaków do Rosyi, są omawiane wedle starych, nieraz wręcz fałszywych formuł. Ten ścisły związek logiczny faktów uchodzi

naszych oczów, bezwiednie poddajemy się suggestyi politycznej t. j. nastrojom (tonowi) wytworzonym przez prasę obcą, nie staramy się wiedzieć i nie wiemy, co w danej chwili interesem jest naszym, idziemy za prądem, który silniej na nas działa. A gdy zważymy, że zostajemy w zależności od trzech państw, których interesy w dodatku są ze sobą sprzeczne, że każde nasze stronnictwo wchodzi z rządem w pewien kontakt bez względu na inne i na interes narodu, jako całości, to gdzie jest nasza siła odporna? Nie wspominam już o rozkładzie we własnem łonie! Wydaje mi się więc koniecznem, aby wszystkie polskie stronnictwa, bez względu na swą barwę, zeszły się na punkcie interesów narodowych, gdyż wtedy dopiero zaakcentujemy swą odrębność na zewnątrz, gdy położymy nacisk na różnicę naszych interesów wobec społeczeństw innych. Tylko stronnicze zaślepienie, egoizm i krótkowidztwo polityczne, mogą przeczyć możliwości takiego zejścia się; przykłady tego widzimy u każdego silnego narodu, gdzie każdy, bez względu na partyę, do której należy, interes narodu całego rozumie, od czuwa i popiera.

A więc celem moim jest wskazać, że nieodzownem jest ułożenie się w polskiej prasie stałego kryteryum dla sądzenia spraw obcych z punktu widzenia naszych interesów. Czy sprawy te nie powinny nas obchodzić, nas którzy jesteśmy 20,000.000 narodem? Czy, nie abdykując z roli społeczeństwa europejskiego, możemy iść za cudzemi opiniami, posiłkując się niedorzeczną (i nieodczuwaną) ideologią?! Jeśli kto powie, że sprawy te właściwie nas nie obchodzą, że powinniśmy dbać o siebie, to takiemu krótkowidzowi ofiarowuję, jak mówi Bartoszewicz, order kłapoucha pierwszej klasy z koroną! Rozumie się, że najważniejszemi sprawami dla nas są najbliższe tu, na miejscu, ale, nie mówiąc już o tem, że u nas i wewnętrzne sprawy omawia się ze stanowiska różnych stronnictw, a nawet osobistych wycieczek, naród, mający pretensyę do istnienia w świecie, musi czuć swój interes i wszystkie kwestye światowe rozumnie sądzić. Nawiasem kusi mnie jeszcze dodać, że podobne niezrozumienie kwestyj światowych nietylko w polityce u nas istnieje; pojawia się ono zarówno i w kwestyach literackich, filozoficznych i t. p. Dziś, gdy cały świat drży pod naporem nowych myśli, gdy cywilizacya rodu ludzkiego na nowe niejako wstępuje tory, my stoimy jeszcze na zakręcie dziejowym, nie czujemy, że duch wszechludzki ulega zmianie wewnętrznej, i walki ludzkości znajdują w nas tylko oddźwięk zewnętrzny.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Powstanie w Chinach.

Nadzieje, że powstanie bokserów nie obejmie całego państwa i dlatego stłumienie jego nie będzie sprawiać zbyt wielkich trudności, zachwiały się już znacznie. Ze wszystkich stron państwa chiń, także z dzielnic południowych, nadchodzą od kilku dni bardzo niepokojące wiadomości. Na północy Mandżuryi, jak wynika z komunikatu wydanego przed kilku dniami przez rosyjskiego ministra finansów, stoi już 40.000 wojska chińskiego; położenie dość groźne. Z Szantungu pisma angielskie donoszą już o krwawych potyczkach pomiędzy bokserami a wojskiem niemieckiem. Obecnie nadchodzą niepomyślne wiadomości z prowincyi południowych i wewnętrznych. Według niesprawdzonej pogłoski, ks. Tuan, opanowawszy władzę w Pekinie, zamierza udać się na prowincyę, aby tam zorganizować powstanie i ogłosić siebie, lub syna swego, cesarzem. Wysłańcy i zwolennicy jego niewątpliwie rozsiewają już oddawna oryginalną i, jak się zdaje, niebezowocną agitacyę na prowincyi. Zewsząd bowiem donoszą o nowych gwałtach i straszliwych najściach i straszliwszych rzeziach. W prowincyi Czekiang panuje pomiędzy ludnością chrześcijańską nieopisany popłoch. Dziesiątki tysięcy ludzi opuszczają kraj i chronią się do dzielnic sąsiednich. Nie znajdują tam jednak lepszych stosunków. W dzielnicach Hupe i Honou bokserzy wymordowali podobno 20,000 chrześcian chińskich; w Ningo (prow. Czekiang) spalono katolicki zakład misyjny w Huczau (prowincya środkowa nad Jangsekiangiem) zburzono zakład misyjny włoski i zamordowano biskupa Fodtosoti, oraz 2 misyonarzy. Chociażby w wiadomościach tych była przesada, w każdym razie dowodzą one, że od kilku dni w dzielnicach południowych i wewnętrznych niema spokoju i wzmaga się tam niechęć do cudzoziemców. Wicekrólowie podobno dotąd nie uznają ks. Tuana, a nawet wysyłają wojska przeciw niemu. Nie wiadomo jest nam, czy można liczyć na wierność obcych żołnierzy, i czy ruch wrogi cudzoziemcom nie uniesie ich ze sobą. Ze źródła angielskiego donoszą, że potężny Li-Hung-Czang wysłał swą armię 50,000 t. zw. „Czarnych flag“ do Pekinu, celem przywrócenia porządku w stolicy. Wiadomość ta wymaga potwierdzenia. Za pomyślną dla mocarstw w każdym razie uważać jej nie można. „Czarne flagi“, jak wiadomo z pierwszego powstania, pałają niemniejszą nienawiścią do Europejczyków, niż bokserzy. Z drugiej zaś strony w prowincyi, pozbawionej najlepszego wojska, rozruchy mogą rozszerzyć się nagle i przybrać tak groźny charakter, że nawet Li-Hung-Czang, jeżeli wogóle prawdą jest, że sprzyja Europejczykom, nie zdoła utrzymać porządku.

Do tej pory nie powiodło się urzędownie stwierdzić, co stało się z Europejczykami w Pekinie. Biuro Reutera zapewnia, że po bohaterskiej walce wszyscy posłowie i wogóle chrześcianie padli ofiarą dziczy.

Stanowisko mocarstw.

Na genezę wypadków chińskich bardzo znamienne światło rzucił poseł Chin, uwierzytelniony przy rządzie Stanów Zjednoczonych. Wyznał on otwarcie, że przebieg wypadków w Pekinie przedstawia się tak, jak gdyby rozruchy zostały rozmyślnie wywołane podszeptami ajentów jednego z mocarstw europejskich, któremu widocznie zależało na wywołaniu zawieruchy.

Jeżeli powyższe wynurzenia są prawdą, to odnosić się mogą jedynie do Rosyi.

Ciekawą wiadomość przyniosła wczoraj Agencya Hawasa z Paryża. Donosi mianowicie:

Tutejszy chiński poseł wręczył ministrowi spraw zagranicznych, Delcassemu, telegram cesarza chińskiego i prosił go zarazem, aby treść telegramu podał do wiadomości prezydenta republiki, Loubeta. W telegramie tym, wyekspedowanym przez gubernatora Szantungu dnia 19-go lipca, niema żadnej wzmianki o posłach zagranicznych w Pekinie. Telegram zawiera tylko prośbę cesarza chińskiego do prezydenta Loubeta, aby Francya objęła pośrednictwo pomiędzy Chinami a mocarstwami. Delcassé odpowiedział chińskiemu posłowi, że wprawdzie poda ten telegram do wiadomości Loubeta, ale odpowiedź nań odeszle do francuskiego posła w Pekinie i tam tę odpowiedź rząd chiński sobie odbierze. Rząd francuski oczekuje jednak pewnej wiadomości, czy poseł francuski w Pekinie jeszcze żyje.

Zjazdy w sprawach szkolnictwa.

Ubiegły tydzień publicznego życia Galicyi zaznaczył się wybitnie rozprawami o szkolnictwie. Aż dwa bezpośrednio po sobie następujące zjazdy, poświęconemi były tej, bezwarunkowo najdonioślejszej sprawie cywilizacyjnej i narodowej, a zainteresowanie, jakie dla obrad tych zjazdów okazała opinia naszej prasy, świadczy dowodnie, że społeczeństwo uznało już słuszność twierdzenia, iż „kto ma szkołę — ten ma przyszłość“.

W dniach 15. i 16. bm. odbywał się w Krakowie zjazd delegatów Kół miejscowych Towarzystwa Szkoły ludowej. Nie był on, co do liczby uczestników (63) tak poważnym, jak w innych latach, ale ta okoliczność tłumaczy się klęską powodzi, która, zwłaszcza we wschodnich powiatach kraju, bardzo wielu delegatom uniemożliwiła przybycie. Natomiast przebieg obrad dotknął najważniejszych zagadnień naszego wychowania publicznego i dał jasny obraz zarówno działalności i rozwoju Towarzystwa, jak i przeszkód, z któremi ma do walczenia.

Zanim przystąpimy do streszczenia tych obrad, oto, kilka ważniejszych cyfr o stanie i działalności instytucyi w roku sprawozdawczym.

Towarzystwo, którego Zarząd główny ma siedzibę w Krakowie, posiada obecnie 73 filij, czyli t. zw. Kół miejscowych, a to: w Galicyi 67, na Bukowinie 3, na Śląsku i Morawach 3. — Członków liczy Towarzystwo 12.446; zbudowało własnym kosztem i utrzymuje 9 szkół ludowych w kraju, oraz założyło i prowadzi 12 szkół dla dorosłych analfabetów, a 91 bezpłatnych czytelni i wypożyczalni książek. Czytelnie i wypożyczalnie mają ogółem 22.380 tomów książek, a w roku ubiegłym wykazały 40.560 czytelników. — Fundusz rezerwowy wzrósł do kwoty zł. 31.451·09; fundusz bieżący miał dochodu złr. 8.735·67; na budowę szkół wydano do tej chwili złr. 100·237·90.

Cyfry powyższe świadczą wymownie o intenzywnej działalności instytucyi, która postawiła sobie za cel: akcyę pomocniczą i zastępczą tam, gdzie dzisiejsze władze szkolne bądź to dla luk w ustawie, bądź wreszcie z innych przyczyn, nie czynią zadość potrzebom oświaty ludu, a zwłaszcza wymogom narodowego wykształcenia, szczególnie w tych miejscowościach, gdzie żywioł polski stanowi liczebną mniejszość i zagrożony jest wynarodowieniem.

Że cel to jasny, lojalny, szlachetny i — bez względu na stanowisko partyjne — każdemu sercu polskiemu drogi — to nie ulega wątpliwości. A jednak zarówno spra-

wozdanie Zarządu głównego, jak i przebieg ostatniego zjazdu, stwierdzają rzeczywistość, równie niezrozumiałą, jak przykrą — że Towarzystwo, stojące zdala od wszelkiej agitacyi politycznej, napotyka trudności największe z tej właśnie strony, z której poparcia raczej i jak największej powinnoby oczekiwać pomocy. Trudności te pochodzą od c. k. władz szkolnych krajowych, a specyalnie od szefa tych władz, wiceprezydenta p. Bobrzyńskiego, który z dziwną niechęcią i drażniącem lekceważeniem odnosi się do instytucyi. Nie rewindykując bynajmniej narodowych uczuć szefa galicyjskiej administracyi szkolnej, trudno nie stwierdzić, że takie zachowanie się jego, jak z jednej strony dziwi i oburza ogół polski, tak z drugiej strony szkodzi sprawie oświaty samej, którą popierać i podnosić, jest właśnie obowiązkiem p. Bobrzyńskiego.

Zjazd tegoroczny walną część swych obrad poświęcił sprawie powyższej. Już Zarząd główny w swem sprawozdaniu dał wyraz krzywdzie, jaką wyrządził p. Bobrzyński, kiedy w Sejmie, odpowiadając na interpelacyę posła ruskiego, p. Okuniewskiego, wyraził się w sposób niesłychanie lekceważący i brutalny o Towarzystwie Szkoły ludowej. W umiarkowanych, a pełnych godności słowach, wytknął to prezes Zarządu, dr. Bandrowski, przy zagajeniu zjazdu, a wkońcu zarówno w komisyach, jak i na pełnych posiedzeniach, wszyscy bez wyjątku mowcy wyrazili swe oburzenie z tego samego powodu. Był nawet wniosek, ażeby zjazd wyraził ubolewanie swoje z powodu zachowania się p. Bobrzyńskiego tak w Sejmie, jak i w wielu poszczególnych wypadkach, wobec Kół miejscowych. Wniosek nie został wprawdzie uchwalony, ale nie z innego powodu, jak tylko, że większość pragnęła zająć stanowisko wyższe ponad partyjną działalność i złą wolę tego, lub innego funkcyonaryusza administracyi szkolnej.

Zresztą nie bez słuszności zauważono w dyskusyi, że zachowanie się p. Bobrzyńskiego, który w Sejmie skrzywdził i obraził poważną organizacyę krajową i polską, bynajmniej nie dziwi więcej, niż zachowanie się polskich członków Sejmu, którzy ani słowa odpowiedzi nie znaleźli dla obrony Towarzystwa przed nieumiarkowanym atakiem szefa Rady szkolnej, ani też nie dziwi więcej, niż zachowanie się prasy krajowej, która równie milcząco wypadek ten przyjęła... Pocieszającem jest natomiast stwierdzenie faktu, że w niechęci swej dla Towarzystwa p. Bobrzyński znajduje się w odosobnieniu. Zarówno społeczeństwo polskie, jak nauczycielstwo całe, pojęły doniosłe i dodatnie znaczenie instytucyi i odnoszą się do niej z żywą sympatyą i uznaniem. Jednostka, chociażby najbardziej ambitna i wpływowa chwilowo, pozostanie zawsze bez wpływu na przyszłość, jeżeli tendencye jej nie są wypływem zdrowej myśli i uczuć narodu, przejętego gorąco ideą swego odrodzenia.

Trudności, jakie ze strony wyżej wskazanej napotyka działalność Towarzystwa, pociągają za sobą konieczność tem większego zespolenia i wytężenia sił w dotychczasowej pracy. 13.000 członków Tow. Szkoły ludowej — to armia poważna, ale trzeba, ażeby była zorganizowaną należycie i z pewnym planem, systematycznie dążyła do celu.

Że zjazd czuł tę potrzebę, wykazały rozprawy i wnioski, jakie się pojawiły ze strony Kół poszczególnych. Zastanawiano się — zwłaszcza w komisych — nad potrzebą większej łączności i wymiany myśli pomiędzy Kołami miejscowemi nawzajem, a Kołami i Zarządem głównym, a to, celem uniknięcia rozpraszania sił i ujednostajnienia sposobów i kierunku działania. W pierwszej mierze ma posłużyć do tego rezolucya, wzywająca Zarząd główny, ażeby zastanowił się nad podziałem Kół na okręgi terytoryalne w taki sposób, jak to ma miejsce w organizacyi Sokołów. W drugim kierunku sam Zarząd główny zażądał wskazania pewnego planu prac najkonieczniejszych w najbliższej przyszłości. W zgromadzeniu przeważało przekonanie, iż najpilniejszą potrzebą jest w tej chwili zakładanie czytelni i wypożyczalni, oraz kursa dla dorosłych analfabetów. Nie można jednak pomijać innych celów Towarzystwa, a w pierwszej mierze opieki nad kresami i nad mniejszościami narodowemi w kraju. W tym kierunku powzięto też uchwały, wzywające Zarząd do energicznej pracy.

Faktem jest, że na Śląsku, na Bukowinie i w ruskich powiatach Galicyi ludność polska zanika, z powodu braku nauki w języku ojczystym i tutaj — naszem zdaniem -- pomoc Towarzystwa jest równie konieczną, jak nagłą. Temu zadaniu powinny na razie wszystkie inne pozostawić pierwszeństwo, bo tu już nie o oświatę samą, ale o byt, o istnienie żywiołu toczy się sprawa.

Dotychczas ustawa szkolna nie uwzględnia mniejszości narodowych. Ustawę taką wnosił w Sejmie poseł Romańczuk w roku 1884. Oczywiście czynił on to w obronie ruskich mniejszości — ale ustawa taka byłaby wyszła także na korzyść dziatwy polskiej, gdzie Polacy są w Radzie gminnej w mniejszości. Myśl ta, sprawiedliwa dla obu stron — w Sejmie nie przeszła, pomimo parukrotnego jej wznawiania. W sejmowej komisyi szkolnej w zasadzie godzono się na to — ale jak zaczęto wyszukiwać trudności stwierdzenia autentycznego, czy jest w gminie taka polska, albo ruska mniejszość, myśl zdrowa o te trudności się rozbijała. Później — w ostatnich dwóch sześcioleciach sejmowych, już jej nie wznawiano i gdyby wniosek pojawił się znowu, nie można się łudzić, jakoby rychło dał się urzeczywistnić. Tutaj więc potrzebną jest energiczna akcya Towarzystwa Szkoły ludowej, a nie wątpimy, że po zorganizowaniu okręgów, działalność w tym kierunku pójdzie raźniej i skuteczniej.

Dobrej woli ku temu — jak wykazały obrady zjazdu — niebrak wszystkim członkom Towarzystwa, a przy dobrej woli i nie oglądaniu się na przeszkody, stawiane przez obcych i swoich, jakże wiele dałoby się zdziałać!

Niechaj Towarzystwo ten jeden spełni tylko obowiązek: niech ocali kresy i polską mniejszość w Galicyi wschodniej, a już zasłuży się narodowi wiekopomnie.

*

Bezpośrednio po zjeździe powyższym odbywało się również w Krakowie walne zgromadzenie członków Towarzystwa pedagogicznego, przy udziale 200 uczestników z całego kraju. Towarzystwo to, niegdyś jedyne tego rodzaju, dzisiaj utraciło wiele na znaczeniu wobec powstania Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, oraz wobec odrębnej organizacyi nauczycieli szkół ludowych. To też i działalność instytucyi osłabła, a oddziały okręgowe — z małemi wyjątkami — stały się więcej nominalnemi, aniżeli istniejącemi faktycznie. Rządowa cecha, jaką nosi na sobie to stowarzyszenie, nie dozwala mu właściwie być wyrazem opinii nauczycielstwa, stąd też i organ Towarzystwa, „Szkoła“, nie cieszy się życzliwością i zaufaniem ludzi, pracujących na niwie szkolnej. Dano temu uczuciu dosadny wyraz na zgromadzeniu, uchwalając potrzebę zmiany kierunku wydawnictwa. Czy wniosek da się wykonać? Wątpimy wobec faktu, że „Szkoła“ jest przedstawicielką tendencyj c. k. Rady szkolnej, a te tendencye niezawsze odpowiadają życzeniu nauczycielstwa i społeczeństwa.

Z innych uchwał, jakie powzięto na tem zgromadzeniu, zasługują na zapisanie następujące: Zarząd główny postara się w drodze właściwej, aby w chwili uzyskania przez kraj znacznych sum z podatku od spirytusu dla sanacyi finansów krajowych, przedewszystkiem pomyślano o regulacyi płac nauczycieli ludowych; dalej Zarząd główny ma się domagać: zrównawnia płac nauczycieli z płacami 3 najniższych rang urzędników państwowych; określenia ustawą państwową charakteru służbowego nauczycieli; wyeliminowania z ustawy wyrazu „praca skuteczna“, a zastąpienia jej wyrazem: „nienaganna“; zapisywania orzeczenia inspektora w protokole wizytacyjnym w szkole; zniesienia kategoryi młodszych nauczycieli; ograniczenia prowizorycznych lat służby; uregulowania pensyj wdowich po myśli ustaw o pensyach wdowich po urzędnikach państwowych.

Przesem Towarzystwa wybrano nadal dra Godzimira Małachowskiego, prezydenta miasta Lwowa.

Wojciech Dąbrowski.

W zaraniu nowego stylu.

Zdarzyło mi się czytać kiedyś nowelę, która opowiada, jak pewien młody człowiek, znudzony jednostajnym widokiem banalnych ozdób w swojem mieszkaniu, dostaje formalnej melancholii, nie zdając sobie sprawy, skąd ona pochodzi. Aż wreszcie doprowadzony w pewien dzień słotny do ostateczności, wyrzuca niby - wytworne meble, zrywa ze ścian banalne oleodruki, fotografie i draperye i dopiero ujrzawszy nagie mury, białe, w całej swej prostocie, lżej nieco oddycha.

Takiej samej melancholii mogłoby dostać pewnego pięknego poranku całe społeczeństwo nasze. Nie mająca bowiem granic banalność i bezmyślność cechuje wszystkie przedmioty codziennego jego użytku, od mieszkania począwszy, aż do kałamarza, który stoi na biurku, aż do porcelanowego kubka, który dziecko z mlekiem do ust podnosi.

Wszędzie stare, zużyte motywy, stare, zużyte style, które przez ciągłe powtarzanie mechaniczne treść i myśl swoję właściwą straciły, a nadewszystko barok, ten okropny barok, kłujący na każdym kroku w oczy, coraz to bardziej pokraczny coraz to bezmyślniejszy. Chciałoby się czasami doprawdy zostać na pewną chwilę samowładnym tyranem, aby urządzić całopalenie z niezliczonych ozdób barokowych, aby zagrozić śmiercią każdemu artyście, coby poważył się tworzyć w tym nieznośnym bankiersko-kurtyzańskim stylu.

Tymczasem „tam za ścianą zawierucha“. U obcych wre zacięta walka i w sztuce stosowanej do przemysłu wyłaniać się poczyna styl nowy, nazywany stylem „angielskim“, „secession“, „modern“, i t. p. U nas, jak dotychczas, cicho, ale ta cisza wyjątkowo gotowa nam wyjść na dobre, jesteśmy bowiem u siebie samych w zaraniu rozwijającego się oryginalnego, polskiego stylu, który doskonale zastąpić może i powinien nam obce „secesye“.

Skoro już bowiem koniecznie klątwą architektury i klątwą sztuki stosowanej ma być to, co nazywamy „stylem“, a co jest w gruncie rzeczy ujęciem twórczości artystycznej w pewne stałe formułki, czyli przez to samo jej zacieśnieniem i skrępowaniem, to niechże przynajmniej ten styl wypływa z charakteru i temperamentu narodowego ludzi, dla których jest przeznaczonym, niech stanowi harmonijną całość z otaczającą ich naturą.

Jestto jedna z wielu zasług Herberta Spencera, że wykazał, iż prawdziwe style powstają tylko, jako wykwit przyrody, na której tle się rozwinęły i mają wtedy tylko sens, jeśli ich motywa z motywami tej przyrody są zgodne. Tak więc styl grecki mógł powstać tylko na pogodnej płaskowyżynie greckiej, styl szwajcarski wśród poszarpanych szczytów alpejskich. Dom zaś grecki, lub szwajcarski, postawiony np. na podolskiej równinie, jest nietylko architektonicznym plagiatem, ale przedewszystkiem estetycznym nonsensem. To samo powiedzieć można i o innych znanych stylach.

Gdzież więc jest styl, któryby się okazał dla nas odpowiednim, czy możemy się pocieszyć, — że kiedyś u nas powstanie?

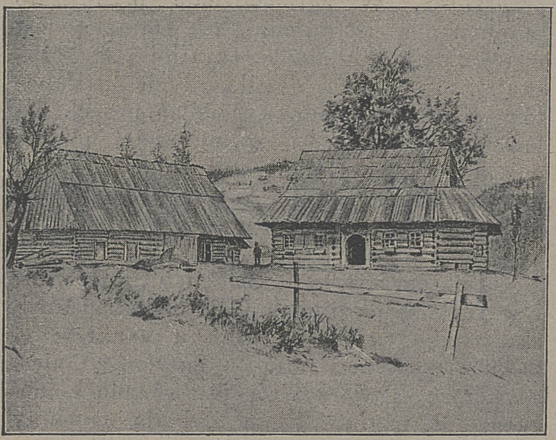
Czytelnik, któryby chciał znaleść odpowiedź na to pytanie, niechaj się przejdzie przed wystawami księgarskiemi, a zobaczywszy tam ozdobnie wydaną książeczkę dr. Stanisława Eljasza Radzikowskiego, p. t. „Styl zakopiański“, niech się nie zraża dziwactwem językowem zaraz w jej tytule, dzięki któremu autor pisze „zakopiański“, a które żadną pseudo - lingwistyczną sofisteryą zapalonych zakopańców usprawiedliwić się nie da, lecz niechaj to nadzwyczaj ciekawe dziełko kupi i pilnie od deski do deski przeczyta.

Dowie się stamtąd, że to, o co się pyta i czego oczekuje, idzie już ku nam, jako owoc naturalnej, wiekowej twórczości polskiego ludu, świeżej działalności jednego człowieka wprost genialnego, i grona ludzi, wśród których nie brakło nawet przykładu apostolskiego poświęcenia się, a można też powiedzieć wprost: oddania życia na ofiarę.

Stanisław Witkiewicz był tym który, niby kapłan starożytny, mający władzę przez dotknięcie ocalać skazanych na śmierć, położył rękę na starodawnych a znikających pod napływem do Zakopanego tandetnej „cywilizacyi“, zabytkach oryginalnej twórczości ludu góralskiego i nietylko potrafił nakazać społeczeństwu dla nich szacunek, który ocalił je od zagłady, ale stworzył w nich ożywcze źródło dla odświeżenia naszej narodowej twórczości.

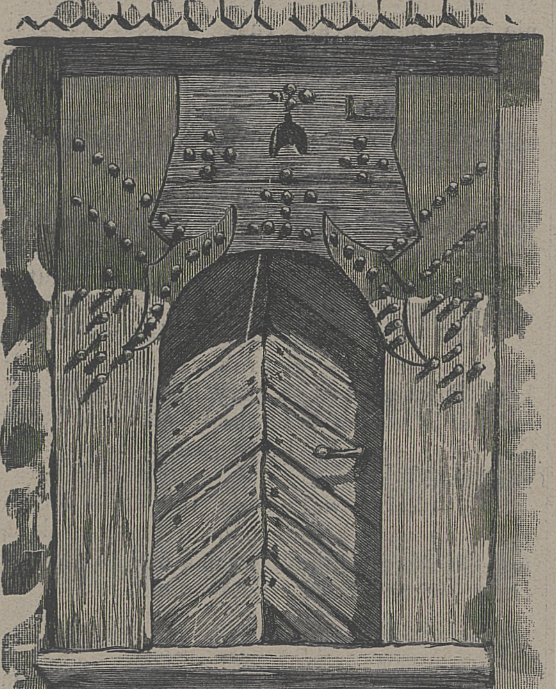
Tym drugim zaś, który niemal za cenę swego życia, wydzierając każdą chwilę pracy strasznym krwotokom i napadom gorączki, zgromadził ogromną masę faktów, ocalił od zatraty mnóstwo zabytków, był ś. p. Władysław Matlakowski, autor „Budownictwa ludowego na Podhalu“.

Zwięzła charakterystyka działalności tych dwu przedewszystkiem ludzi i wyników, do jakich w swej pracy doszli, stanowi główną treść książeczki dr. Eljasza Radzikowskiego, a tekst objaśniają liczne wytworne ryciny i pięć osobno dołączonych fototypicznych tablic, które przedstawiają widoki najwybitniejszych architektonicznych wykwitów nowego stylu, mianowicie dwu wil w Zakopanem: „Koliby“ p. Gnatowskiego i domu pp. Pawlikowskich na Kozińcu.



St. Witkiewicz: Zagroda góralska.

W sposób zajmujący i z werwą, z jaką pisać potrafi tylko człowiek rozkochany w swoim przedmiocie, dr. Eljasz Radzikowski, w ślad za Witkiewiczem i Matlakowskim, daje zwięzłą charakterystykę stylu zakopańskiego, tych ozdób, pokrywających sprzęty domowe, tych „gwiazd“, „parzenic“, „gadzików“ i t. p., tych dachów na chatach, które wszystkie mają ten sam charakter linij, przecinających się pod ostrym kątem, z wyjątkiem drzwi wchodowych chaty, co łukowato wygięte, „wyrywają się z ogólnego charakteru i stanowią całość odrębną, niezależną, oryginalną i pełną“...



St. Witkiewicz: Drzwi chaty góralskiej.

Ale autor sięga dalej. Wykazuje, że te same zalety i cechy, choć nie w takiej obfitości i sile, miewają inne też chaty, po obszarze ziem polskich rozsiane, że nawet w starodawnych budowlach kamiennych polskich poczęto je odnajdywać — i tak w toku tych wywodów dr. Eljasza Radzikowskiego staje przed nami, jako fakt niemal, że chata zakopańska, to staropolska, dobrze zachowana chata, więcej nawet: że to szczęśliwie od zagłady uchroniony świetny zabytek rodzimego, polskiego stylu, który kiedyś istniał..

Tak więc dzisiaj, oglądając się za stylem, któryby odświeżył i uczynił znośniejszem środowisko, w którem żyjemy, nie potrzebujemy sięgać poza morza, bo mamy u siebie to źródło ożywcze, które, na szczęście, jeszcze nie wyschło i — da Bóg — po dzisiejszych usiłowaniach ludzi dobrej woli, a wysokiej inteligencyi, nigdy już nie wyschnie.

Jak zaś ten styl jest oryginalnym, jak świeżym, świadczy zainteresowanie się, które obudził u obcych Niedawno zmarły, słynny na świat cały estetyk angielski, John Ruskin, z którego teoryami można się nie zgadzać, lecz niepodobna mu odmówić znawstwa w dziedzinie sztuki, wprost nieporównanego, zachwycony był przedstawionemi mu próbkami wyrobów zakopańskich i obiecywał sobie, że odbędzie podróż do Zakopanego dla bliższego poznania tego stylu i tego ludu, który go wytworzył. Obcy z różnych krajów zgłaszają się do Witkiewicza z prośbą o plany will w stylu zakopańskim, który w ten sposób poszedł w gości aż nad fiordy skandynawskie, a serwska fabryka porcelany zakupiła modele naczyń góralskich, aby je znaśladować w wyrobie filiżanek...

Bo styl zakopański da się do wszystkiego zastosować, da się rozwijać i doskonalić, jednem słowem, ma rozległą przyszłość przed sobą, byle go nie próbowano „poprawiać“, byle nie patrzono nań przez pryzmat dotychczasowych uprzedzeń estetycznych.

A właśnie takie niebezpieczeństwo groziło mu i to ze strony instytucyi, która właściwie powinna być kolebką i ogniskiem jego, ze strony zakopańskiej szkoły przemysłu drzewnego. Dawniejsze kierownictwo tej szkoły było wprost wrogie stylowi zakopańskiemu, teraźniejsze zaś robi rzecz jeszcze gorszą: bo bierze poszczególne motywa jego i grupuje wedle porządku i form dawniejszych, spowszedniałych stylów, zwyradniając w ten sposób to, co jest zdrowem, nowem i samodzielnem.

Ostra jednak, ale zasłużona krytyka, jaką do tego postępowania zastosowano, a nadto coraz wyraźniejszy odpór społeczeństwa, doprowadzić musza do tego, że dotychczasowe kierownictwo szkoły albo zrozumie, w czem jest jego zadanie, albo będzie musiało złożyć ster w inne, odpowiedniejsze ręce.

Tak, czy owak, sprawę uważać należy zgóry za wygraną, a zwycięstwo jej przyspieszą i rzecz samę spopularyzują w społeczeństwie tego rodzaju wydawnictwa, co omawiana książka dr. Eljasza Radzikowskiego.

Kończy się ją czytać z uczuciem uroczystego oczekiwania, z przeświadczeniem, że jesteśmy w przededniu rzeczy ważnej dla naszej sztuki, dla naszego przemysłu a tem samem dla ekonomicznego rozwoju, rzeczy ważnej dla pielęgnowania rodzimego, narodowego charakteru, że jesteśmy w zaraniu nowego, **polskiego** stylu!

H. SIEMIRADZKI.



POKUSA ŚW. HIERONIMA.

Wzrost dobrobytu klas pracujących w Niemczech.

W chwili, kiedy kwestya robotnicza stanowi u nas przedmiot studyów i dyskusyj w sferach inteligencyi, śledzącej sprawy społeczne, zajmie niewątpliwie czytelników naszych cyfrowy obraz wzrostu dobrobytu klas robotniczych w Niemczech w czasie tamtejszych reform socyalnych i nowych traktatów handlowych.

Statystyka niniejsza nie we wszystkiem wprawdzie odpowiada stosunkom austryackim, a już zwłaszcza galicyjskim, w każdym razie jednak rzuca pewne światło na wartość i znaczenie wzmiankowanych reform, oraz na doniosłość dobrej polityki w dziedzinie traktatów handlowych.

Zakłady ubezpieczenia robotników od nieszczęśliwych wypadków opierają, jak wiadomo, wysokość ewentualnej renty asekuracyjnej na wysokości zarobku, jaki pobiera ubezpieczony robotnik. Otóż pod tym względem w Niemczech widzimy wzrost następujący:

Rok	Przeciętna liczba osób ubezpieczonych.	Ogólna wysokość zarobku, przyjętego pr y ubezpieczeniu. Milionów marek.	Przeciętna wysokość zarobku na jednostkę ubezpieczoną. Marek
1890	4.926.000	3.183	647
1891	5.093.000	3.311	650
1892	5.078.000	3.292	648
1893	5.168.000	3.366	651
1894	5.243.000	3.431	654
1895	5.409.000	3.577	661
1896	5.734.000	3.922	684
1897	6.042.000	4.253	704
1898	6.316.000	4.643	735

Czasopismo berlińskie, *Soziale Praxis*, zauważa, iż statystyka powyższa nie jest zupełnie dokładną i że w rzeczywistości wzrost zarobku musi być większym, dla nas jednak już i te cyfry dają dostateczny obraz. Wynika z nich, że dochód robotnika przemysłowego w Niemczech w okresie 1890—1898 wzrósł o 88 marek na głowę, czyli o 13·5%, w ogólności zaś o 1460 milionów marek, czyli o 46%. Nie mamy stosownego wykazu, co do robotników rolnych, atoli i tutaj czasopisma rolnicze zapewniają o ogromnym wzroście.

Wzrost zarobku robotników przemysłowych bezwątpienia nie polegał jedynie i wyłącznie na wynikach polityki handlowej Niemiec. Skutki reform socyalnych podniosły wysoko sztandar robotniczy, a obok tego w przeważnej części wpłynął na to zdumiewający rozwój technicznych i finansowych środków pomocniczych. Jednakże i handlowa polityka rządu zdziałała dużo. Gdyby bowiem nie wzrost eksportu niemieckiego o cały miliard marek, nie byłoby owych 1½ miliona marek na rozdział pomiędzy robotników.

Nietylko jednak wzrosła w tym okresie wysokość wynagrodzenia. Statystyka Rzeszy niemieckiej oblicza konsumcyę tytoniu w okresie 1881—1886 na 1·4 klg. na głowę; w okresie 1886—1891 na 1·5 klg. Dalej następują dwa lata z cyframi 1·5 i 1·4 klg., a jest to jeszcze czas przed działaniem układów handlowych. Ale już w okresie lat 1893—1899 widzimy następujące przeciętne, idące kolejno: 1·5 klg., 1·6 klg., 1·8 klg., 1·8 klg., 1·8 klg. i 1·6 klg. Podobnie konsumcya piwa: 1891: 84·9 l.; 1889: 105·8 l; 1892: 107·8l.; 1895: 115·7 l.; 1897: 123·0 l; 1898: 124·0 l. na głowę.

O konsumcyi niektórych artykułów zagranicznych podaje statystyka Rzeszy cyfry następujące:

	Bawełna	Korzenie	Kawa	Ryż	Owoce południowe	Herbata
1886/90	4·19	0·14	2·38	1·76	1·04	0·04
1891/95	4·95	0·15	2·41	2·49	1·39	0 05
1896	4·85	0·17	2·46	2·41	1 97	0·05
1897	5·36	0·17	2 53	2·35	2·02	0·05
1898	6·30	0·15	2·80	2·51	1·79	0·05
1899	5·71	0·17	2·81	2·58	2·09	0·05

Z wręcz odmiennych źródeł statystycznych przekonywamy się o wzroście ogólnego dobrobytu w Prusiech. Nowa ustawa podatkowa weszła tam w życie z r. 1892/93. Dochód wykazał 125 milionów marek. W r. 1894/5 spadł na 122 milionów. Ale od tej chwili widzimy już wzrost coroczny: 135 milionów, 147 m. 159 milionów, a na rok bieżący preliminowano już 172 milionów.

I jeszcze jeden probierz dobrobytu warta przytoczyć, a jest nim wykaz ruchu emigracyjnego z Rzeszy niemieckiej. Cyfry to zaprawdę ciekawe, i tak:

Rok	Wyemigrowało	Rok	Wyemigrowało
1879	35.888	1890	97.103
1880	117.097	1891	120.089
1881	220.902	1892	116.339
1882	203.585	1893	87.677
1883	173.616	1894	40.964
1884	149.065	1895	37.498
1885	110.119	1896	33 824
1886	83.225	1897	24 631
1887	104.787	1898	22.221
1888	103.951	1899	23.740
1889	96.070		

Przy badaniu ruchu emigracyjnego nie można, oczywiście, brać w rachubę wyłącznie stosunków zarobkowych w kraju; należy także uwzględnić stosunki miejsca, dokąd kieruje się emigracya. W danym wypadku celem wychodźców były Stany Zjednoczone A. Półn. Stosunki zarobkowe w latach ostatnich były tam wcale dobre, a jednak emigracya z Niemiec zmniejszyła się i spadła na dziesiątą część tego, co było w latach 1881. i 1882., a na piątą tej cyfry, jaką osiągnęła w latach 1891. i 1892.

Okoliczności tej nie można tłumaczyć ani trudnościami, czynionemi emigrantom przez rząd niemiecki, ani też utrudnieniami ze strony Stanów Zjednoczonych. Jedno i drugie nie zmieniło się wcale, azatem zmniejszenie się liczby wychodźców należy przypisać poprawie stosunków zarobkowych w kraju. I w tem właśnie ekonomiczny i narodowy sukces Niemiec, które reformami wewnętrznemi i polityką handlową potrafiły zatrzymać w kraju i dać wyżywienie 800.000 obywatelom, co w przeciwnym razie byliby opuścili ojczyznę.

Jakże wiele cyfry te mówią do naszych polityków i ekonomistów!

Dr. Eugienjusz Piasecki.

O potrzebie ruchu.

Z dawnych, „dobrych" czasów, gdy używanie najsroższych tortur było na porządku dziennym — nietylko w Samborze, — dochodzą nas głuche wieści, iż jednem z najdokuczliwszych cierpień, na jakie wysilały się szlachetne mózgi ówczesnego sądownictwa, była — przymusowa nieruchomość. Niektórzy skazańcy woleli poddać się wszystkim innym wynalazkom tak wysoko niegdyś rozwiniętego kunsztu dręczenia, niż utracić swobodę ruchu. Daje to nam miarę, jak głęboko w organizmie ludzkim tkwi potrzeba ruchu, jako jeden z najpotężniejszych wrodzonych popędów.

Gdzie szukać źródła tego popędu? Dlaczego człowiek, który tak łatwo przystosowuje się do różnych warunków, nie znosi jednak bezkarnie dłuższej nieczynności mięśni?

Jeśli mi tego nadobne czytelniczki nie poczytają zupełnie niesłusznie za... bezbożny darwinizm, pozwolę sobie zauważyć, że z podobnym popędem spotykamy się w całym świecie zwierzęcym. Zwierzęta t. z „zimnokrwiste" są wprawdzie naogół dość gnuśne; „ciepłokrwiste" jednak, a raczej zwierzęta o stałej ciepłocie, wiodą żywot bardzo ruchliwy, pracując mięśniami dla zdobycia pokarmu, a jeśli go mają dosyć, to choćby dla zabawy.

Spytajmy o wyjaśnienie fizyologów (choć nie wiem, czy nie będzie znów protestu czytelniczek, które wiedzą, że panowie ci obchodzą się gorzej z żabami, niż... Rabiejez ludźmi). Powiedzą nam, że mięsień, kurcząc się i prężąc, wytwarza wiele ciepła, że więc ruch zwierząt jest ważnem źródłem ciepła zwierzęcego; naodwrót zaś ciepło podwyższa pobudliwość nerwów i kurczliwość mięśni tak, iż cały ustrój „machiny zwierzęcej", ciepłokrwistej jest ściśle związany z potrzebą ruchu. Jako jaskrawy przykład, wskaże nam fizyologia mysz, która zdecha wskutek... zmarznięcia, jeśli jej odbierzemy swobodę ruchu. Wyjątkiem, stwierdzającym regułę, są zwierzęta zapadające w sen zimowy: u tych wówczas temperatura ciała obniża się znacznie i wszelkie funkcye organizmu redukują się do minimum słowem, mechanizm ich nastraja się na sposób zimnokrwistych.

W związku z układem machiny zwierzęcej, kształtuje się też i sposób życia, sposób zdobywania pokarmu wśród walki o byt. Zwierzęta ciepłokrwiste, żyjące dziko, są zniewolone do ciągłej pracy mięśniowej przez same warunki swego bytu.

Gdy z tej wycieczki zoologicznej wrócimy do człowieka, znajdziemy u niego w stanie pierwotnym tę samę konieczność zdobywania pokarmu i okupywania bezpieczeństwa życia zapomocą ciężkiej pracy mięśni. W życiu dzikiego chłopięce lata schodzą na wprawianiu się do późniejszych zapasów, lata zaś męskie na ciągłej walce z ludźmi, zwierzętami i martwą przyrodą.

I byłoby tak może podziśdzień, gdyby nie interwencya potężnej władczyni — kultury. Pani ta, wśród odwiecznych swych zapasów z przyrodą, zdołała człowieka „uprzywilejowanego" kolejno uwolnić od wielu trudów. Policya dba teraz (a przynajmniej powinna dbać) o jego bezpieczeństwo, majstrowie od topora i noża wyręczają go

uprzejmie w odbieraniu życia wołom, cielętom i t. p., a Maćki i Wojtki orzą dla niego czarną ziemię. On zaś może spokojnie załatwiać „kawałki“, lub nawet obcinać kupony. Ideał ekonomiczny oszczędzania sił zdaje się być tym sposobem osiągniętym, a podział pracy na mięśniową i umysłową zwiększa wydatność jednej i drugiej.

Cóż, kiedy wyraźne objawy wskazują, że i przyroda nie stała się jeszcze służebnicą i pogwałcenie swych praw karze w sposób przykry i dosadny. Jest ona zdecydowaną konserwatystką i nastraja machinę ludzką ciągle jeszcze na tę samę nutę, jak w okresie żłobionego kamienia. Stąd poważni radcy i pracowici kapitaliści odbywają okresowe pielgrzymki do Karlsbadów, Marienbadów Vichy, dlatego interesujące panie odwiedzają Krynicę, lub Francensbad... Obecny stan nauki wskazuje wyraźnie na *braku ruchu*, jako na jedno z ważniejszych źródeł niedomagań zdrowia średniej i wyższej klasy naszego społeczeństwa.

Ruch jest koniecznym u dziecka dla pobudzenia wzrostu, dla rozwoju serca i płuc, a nawet dla hygieny umysłu; nie może go lekceważyć człowiek dorosły bez zgubnego wpływu na krążenie krwi, apetyt i trawienie, lub bez narażenia się na otyłość, artrytyzm i inne zboczenia. Co więcej, starzec potrzebuje ruchu dla zapobieżenia sztywności stawów. Widocznie tedy zdobycze kultury, mimo swej imponującej potęgi, ani na włos nie potrafiły zmienić praw, rządzących czynnościami ciała ludzkiego. To też hasło „więcej ruchu“ coraz więcej uznania znajduje wśród zgnuśniałego pokolenia dzisiejszego.

Przechodząc do praktycznych wniosków, nie będę łamał rąk filozoficznie nad „zgniłą“ cywilizacyą, nie znajduję też powodu postępowania jak „niemaja diewka“ Tołstoja, która usuwała od obiadu tych, co mieli ręce niespracowane. Jasnym jest dla mnie ten tylko wniosek, iż każdy z nas potrzebuje pewnej, dość znacznej, dawki pracy mięśniowej. Czy praca ta będzie produktywną, czy nie, o to mniejsza, byle postać jej i dawka były w zgodzie z prawami natury. Wiemy o tem już oddawna, lecz filozoficzne głowy germańskie podawały nam tę pracę w postaci nudnej pigułki uczonego systemu gimnastyki, to też nic dziwnego, że nie mogło się zamiłowanie do ruchu rozpowszechnić.

Teraz zaczyna sprawa wchodzić na inne tory. Zdrowy instynkt wskazuje temu, kto go zechce usłuchać, *zabawy i sporty na świeżem powietrzu*, jako najzdrowszą postać ruchu, a w nowszych czasach nauka stanęła po stronie tego instynktu. To też oduczyliśmy się ruch sportowy uważać, jako „zabawkę“, a jako paradoks zdanie: „Pro patria est, dum ludere videmur“. Najnieproduktywniejsza zabawa jest bowiem użyteczną, jeśli wytwarza kapitał społeczny, zwany *zdrowiem*.

Dr. Jan Stella-Sawicki.

Życie w rozmaitych przejawach.

Patrząc na nieskończone przestrzenie, na miljony gwiazd, miljony słońc i światów, przekonujemy się, że każda z tych gwiazd tak, jak i ziemia nasza, porusza się. Od czego ten ruch pochodzi, niewiadomo, ale niema w całym wszechświecie rzeczy, któraby prawom ruchu nie podlegała. Każde z ciał niebieskich promienieje

A. H. SCHRAM.



SĄD PARYSA.

(Z wystawy obrazów Tow. Sztuk pięknych we Lwowie).

światło; światło zaś słoneczne wzbudza ciepło na ziemi, tworzy prądy elektro-magnetyczne, rozkłada chemicznie materye i połączenia sprowadza. Oprócz promienistego oddziaływania światła, istnieje pomiędzy ciałami niebieskiemi druga czynność — przyciąganie. To ostatnie jest siłą wszystkim rzeczom właściwą, zarówno najmniejszym, jak i największym, stosownie do ich masy, lecz wtedy, gdy światło rozchodzi się we wszystkich kierunkach w przestrzeń, przyciąganie działa przeciwnie: ze wszystkich stron przestrzeni ku ciału. Prawa tego przyciągania mają moc czynną na ziemi i zupełnie tak samo działają w nieskończonych odległościach, gdzie gwiazdy podwójne, dwa słońca, obracają się około siebie. Wszystko to świadczy, że ruch i wzajemny wpływ ciał niebieskich należą do istoty całej natury.

Jeżeli zstąpimy z krain niebiesnych na ziemię, to spostrzeżemy, że ziemia obraca się około słońca i około własnej osi; że powietrze, które ją otacza, wiecznym podlega ruchom, że wody podziemne i rodzime ciągle płyną i parują, że góry powstają i znikają, że skały, nawet na lodowych polach, utworzonych na północy, odbywają wędrówki i wszystko znajduje się w ciągłym ruchu i w nieustannych przekształceniach. Jeżeli do tego dodamy, że rośliny, zwierzęta i ludzie bez tej czynności ziemi żyćby nie mogły, musimy uznać, że ziemia żyje, a chociaż życie roślin, zwierząt i ludzi przejawia się w odmienny sposób, to jednak życie na ziemi z życiem samej ziemi jest bardzo silnie zjednoczone.

Co więcej, dla nauki jest już zupełnie niewątpliwem, że ziemia posiada historyę swego rozwoju, że świat roślin i zwierząt kolejnym ulegał zmianom i że człowiek później tylko powstał. Wszystko to prowadzi do wniosku, że życie na ziemi tylko w najściślejszym związku z ostatniem badanem być może, z tą jedynie różnicą, że historya rośliny trwa tylko dni kilka, zwierzęcia niekiedy kilka godzin, podczas gdy historya ziemi liczy się na miljony wieków.

Wiążąc życie ziemi z życiem na ziemi, widzimy, iż pierwiastki, z których się składa ciało rośliny, zwierzęcia i człowieka, są też same, co składają ziemię; każda roślina bowiem, lub zwierzę, ma w sobie pewną ilość tlenu, azotu, wodoru i węgla, nieco siarki, fosforu, wapna, żelaza i innych pierwiastków. Chemik może wszystkie oddzielnie wydobyć, — to dowodzi, że żywa roślina i żywe ciało zwierzęcia składa się z niczego więcej, jak tylko z tych pierwiastków, które po śmierci istot ożywionych do ziemi wracają. Ponieważ zaś wiemy, że byt istot żyjących trwa już od wielu miljonów lat, przeto łatwo wpaść na myśl, że wszystek azot, wodor, węgiel, wapno i t. d. żyły niegdyś i że to, co obecnie istnieje, jako pierwiastki, kiedyś żyć będzie.

Dość spojrzeć na ogromne obszary gór wapiennych i kredowych, które są zbiorem pancerzy i skorup niezmiernie małych żyjątek, aby przekonać się, jakie to olbrzymie rzesze niegdyś żyły, ruszały się Niema nawet wątpliwości, że cząstki, składające żywe ciało człowieka, przed wiekami były pokarmem tych żyjątek, a wapno, którem bielimy nasze pokoje, może było składową częścią kości naszych przodków.

Całe przestrzenie, na których mieszkamy, są często ogromną ławicą żyjących i poruszających się warstw wymoczków.

Z badań Ehrenberga wynika, że cała Karlstrasse w Berlinie stoi na takim pokładzie. Krzemienie, są to skamieniałości przed wiekami żyjących stworzeń. Całe wyspy, składające się z pokładów koralowych, żyły niegdyś i żyją dzisiaj, a na koralowych rafach okręty nieraz się rozbijają.

Jednem słowem, wszystkie ciała, tak zwane martwe, zmieniają się na żyjące, a te ostatnie na martwe, które nie są czem innem, jak szczątkami dawnego życia. Nie jest to myśl nowa, bo mędrcy najdawniejszych czasów wołali do człowieka: „Z prochuś powstał i w proch się obrócisz“.

Wskutek czego powstaje życie z martwych pierwiastków — nie wiemy. Wszystko, co istnieje na świecie, czy to roślina, czy zwierzę, lub człowiek, ma swoję poprzedniczkę, wszystko wyszło z zarodka. *Omne vivum ex ovo.* Lecz to nie usuwa jeszcze możliwości, że ziemia w dziejach rozwoju swego życia przechodziła epokę, w której zarodki roślinnej i zwierzęcej natury wydawać była w stanie.

Obecne życie wszystkich rodzajów roślin i zwierząt jest tylko pewnym stopniem ogólnego życia ziemi i prawdopodobnie takiem nie zostanie w przyszłości, jak to nas poucza przeszłość, w której znajdujemy tylko stworzenia mniej doskonałe pod względem organizacyi fizycznej, a jeszcze mniej pod względem rozwoju umysłowego.

Wszystkie rośliny na ziemi z tak zwanych martwych pierwiastków, a mianowicie z kwasu węglanego, wody i amoniaku z dodatkiem niektórych minerałów, kształtują ciało swoje. Nie tak dawno odkryto rośliny, w składzie których znajduje się miedź, srebro, cynk i żelazo. Świadczy to, że i te metale mogą przejść w stan ożywiony. Ponieważ zwierzęta żywią się roślinami bezpośrednio, lub pośrednio ciało więc ich jest właściwie tylko zmienioną rośliną. Wskazuje to wyraźnie stopniowanie w rozwoju życia.

Rośliny nie mogą się karmić ciałami pojedyńczemi, jak tlen, azot, węgiel i wodor, one potrzebują podwójnych połączeń, to jest kwasu węglanego, składającego się z węgla i tlenu, siłą chemiczną połączonych, wody powstającej z połączenia tlenu i wodoru, nareszcie amoniaku, który jest złożonym z wodoru i azotu. Istniejąc w powietrzu, obfitującem w tlen i azot, roślina pierwiastków tych nie może bezpośrednio sobie przyswajać i obumiera, jeżeli w powietrzu nie znajdzie kwasu węglanego. Metale, które znajdują się w roślinach, są także pod postacią rozpuszczalnych tlenków.

Z tego widać, że pierwiastki chemiczne nie służą roślinie za pokarm i muszą być przez właściwą siłę jakąś, przez proces chemiczny, do tego przygotowane. Te zmiany chemiczne wykonywa sama ziemia pod wpływem sił, które w niej się rozwijają. Łączenie więc pierwiastków musimy uważać za pierwszy stopień życiowych objawów. Ziemia przerabia pojedyncze ciała na podwójne, które mogą służyć roślinom za pokarm, to jest, przyjąć wyższy stopień życia i stać się rośliną. Roślina stanowi pokarm zwierzęcia, czyli, że w roślinie drugi stopień życia przechodzi w wyższy jeszcze. Człowiek zaś ciało swe kształci z materyj roślinnych i zwierzęcych, to znaczy, że te materye w człowieku znajdują najwyższy stopień obecnie.

Oto, jest ta nić, która naturalnie prowadzi od życia ziemi do najwyższego dziś stopnia — do życia człowieka.

BRONISŁAW KOWALEWSKI.

Woń średnich wieków.

Wspomnienie.

W duszy mej tkwi jedno zdarzenie z przeszłości, ni to obraz malowany świetlistemi promieniami księżyca, mieniący się tysiącem tajemniczych barw. Minął rok, wiele rzeczy okrył szary proch zapomnienia i tylko ta cudowna tęcza, to odbicie w mym umyśle jakiejś zaczarowanej krainy, w którą zajrzał mój duch, gdy na chwilę wzbił się w przestrzenie bezmierności, świeci cichym ogniem w głębi mej istoty. Gdy patrzę w to skrystalizowane odbicie, rzewny ton tęsknoty, niby dumka ukraińska wśród szerokich stepów, dźwięczy przejmującem echem w otaczającej mnie szarej, zimnej mgle zwątpienia.. Wspomnienia chwil takich są to milowe kamienie na drodze ludzkiej myśli, to najwyższe szczyty, na które wzlatuje duch człowieka; ich pełne tajemniczego czaru obrazy trwają w umyśle dłużej, niż pamięć najsilniejszych życiowych napięć wśród krwawych bitw, wśród burz morskich. Całe zdarzenie odbywa się wewnątrz naszego własnego ja, a jednak mamy wrażenie dotykalne czegoś obcego, pozaświatowego — jakby na dowód, że duch nasz bez świadomości, a raczej mimo niej, ulega różnym niezbadanym, unoszącym się w przestrzeni wpływom.

Rok temu przebywałem w tej pięknej miejscowości naszego kraju, gdzie niewysłowiona tęsknota ukrainnych rozłogów mięsza się z wesołym wdziękiem górzystego położenia, gdzie wiatr szumi szerokim żalem, a oko zatrzymuje się na krótkich, malowniczych perspektywach. W tej okolicy stał w rozległym parku, złożonym ze stuletnich lip, dębów i klonów, starożytny zamek, czy pałac, własność pewnego bardzo dawnego rodu. Podczas jednych wakacyj pracowałem w bibliotece, mieszczącej się w tym zamku; obfitowała ona w niezmiernie stare i cenne rękopisy. Właściciele od wielu lat nie mieszkali w swoim majątku, żyli za granicą i ta specyalna cisza opuszczonych mieszkań ludzkich, dostrajała się zupełnie do unoszącej się w powietrzu melancholii. W obszernych, sklepionych salach, panował mrok, jaskrawe złocenia, fantastyczne, zawikłane arabeski, gobeliny, stare obrazy, stylowe, przypominające dziecinne rysunki, wszystko to wieki zoksydowały, powlokły cieniem, niby tą senną mgłą, która w umysłach naszych przesłania obrazy minionych dni i nadaje im tajemniczy koloryt. Wśród nagromadzonych tu starożytności, unosiła się dawna myśl ludzka, umysł mój wchodził z nią w zetknięcie. Czarowny urok przeszłości i ten smutek rozlany w powietrzu, przeniknęły mię i stworzyły nastrój, który mnie przeniósł w prześliczny kraj marzeń. Każdy ton średniowieczny odbijał się w mej duszy szeregiem obrazów; rycerze na dzielnych rumakach, w świetnych zbrojach, urocze niewiasty w powłóczystych szatach, wśród ponurych krużganków zamkowych, mroczne, leśne drogi, błysk sztyletów w zasadzce, przy świetle księżyca... Obrazy te lśniły się i złociły w nieskończoność całą gamą barw przeróżnych. I w zwykłym stanie jeden promień, jeden szmer jakiś tworzą w nas często podobne mnóstwo obrazów z początku plastycznych, potem rozpływających się w przestrzeni, obrazów złożonych z barw, dźwięków i woni.

* * *

Raz, chociaż zazwyczaj pracowałem tylko rano, poszedłem do biblioteki w porze popołudniowej. Był to dzień świąteczny i srebrzysty głos dzwonu cerkwi wiejskiej, jak zwykle, raz po raz drżąc, rozchodził się w powietrzu, ale jakiemś, jakby przyduszonem echem. Mimo, że słońce znacznie schyliło się ku zachodowi, było bardzo parno, drzewa stały nieruchomo; niby senne, niby z zamkniętemi oczyma, pod tem uśpieniem czułeś wrzenie namiętności, których burza szalona ma za chwilę wybuchnąć. Ten spokój i ta cisza jaskrawa były nadzwyczaj drażniące, była to, niby leciuchna gaza, osłaniająca różowe, nagie i drżące ciało. Oślepiające promienie słońca nadały liściom kolor biało-zielony i barwa ta przywodziła na pamięć twarz stalowobladą, pod wpływem piekielnej żądzy, a parne powietrze zdawało się być ciężkim, gorącym oddechem, pod którym faluje pierś w przedchwili szału. Naprężenie hamowanego do ostatnich granic, wściekłego, potężnego popędu udzieliło mi się i przez nerwy moje przebiegło przykre, przygnębiające wrażenie; pomyślałem, że gdybym był tytanem, ten nastrój inneby we mnie obudził uczucia.

W tem niemiłem usposobieniu doszedłem do pałacu, przed którym kwitło właśnie tysiące róż; woń ich wydawała mi się bardziej upajającą, niż kiedy, machinalnie prawie zerwałem jednę i otworzyłem boczną furtkę, przeraźliwie skrzypiącą, na zawiasach. Wszedłem na długi, ciemny kurytarz — stęchły zapach murów, ich chłód, owionęły mnie znaną wonią średnich wieków i tylko to napięcie, wywołane przez naturę, wrzuciło w nią nuty jakiegoś niepokoju, odbierając jej jednocześnie ów łagodny wdzięk średniowiecznej baśni.

Przeszedłem przez ogromny staroświecki salon; jedna okiennica była otwarta, złoty promień wpadł i zapalił ciemnawe błyski w zczerniałych wyzłacaniach ścian, biało lakierowane nóżki lekkich krzeseł, w stylu *Louis XV.*, ciężkie, wspaniałe rzeźby gdańskich szaf odbiły się w zwierciedle posadzki. Wśród tego osmutniałego, niby kirem okrytego przepychu, panowała głęboka, niczem niezmącona cisza, a w tej ciszy unosiła się myśl umarłego życia. Zacząłem stąpać ostrożnie na palcach, aby nie zbudzić tego milczenia; tak wszedłem do biblioteki i usiadłem na olbrzymim gotyckim fotelu, pokrytym heraldycznemi rzeźbami. Wziąłem się do pracy, wyjąłem kajet, robiłem notatki. Robota mi jednak nie szła, niepokój ten przeszkadzał mi; zniechęcony wstałem, rzuciłem ołówek i już miałem odejść, gdy naraz zauważyłem znaleziony wczoraj katalog z przeszłego wieku, spisany po łacinie na pergaminowych kartach; oparty na stole, zacząłem go przeglądać i dowiedziałem się, że w tej bibliotece ma się znajdować dzieło pewnego mnicha z XII. wieku, pod tytułem „Tva“. Obok nazwiska tego, była uwaga, że księga ta zawiera w sobie wiele tajemnic. Zaciekawiony, po długich poszukiwaniach i po

przerzuceniu mnóstwa zapylonych foliałów, znalazłem wreszcie starą księgę, oprawną w ponsową skórę, ze srebrnemi okuciami, a zamykaną na klamrę tak artystycznej roboty, że oczu przez chwilę nie mogłem od niej oderwać. Każdą stronicę zdobiły prześliczne winiety, stworzone z iście szaloną fantazyą, na tle pierwszych motywów gotyku; litery były również gotyckie, już to niebieskie, już purpurowe. Dziwiłem się, że dotychczas nie zauważyłem tego rękopisu, ale jednocześnie zastanawiałem się, w jakim właściwie języku przemawiają do mnie myśli autora? Mowy tej najpewniej dotąd nie znałem, a przecież rozumiałem ją doskonale, zachwycały mię nowe zupełnie myśli, wypowiadane w nieznanej dotychczas formie. Zachwycałem się ich nowością i oryginalną pięknością, nim jednak zdałem sobie sprawę z tego nieskończenie dziwnego faktu — przeniknęło mię coś niezwykłego — niby odczucie czyjejś obecności tak silne, że drgnąłem cały i zaniepokojony oglądnąłem się. — Wokoło cisza — nie czułem najlżejszego powiewu, nie słyszałem szmeru żadnego, a jednak uczucie to wzmagało się we mnie w miarę, jak dalej przewracałem karty. Ogarnęło mnie niebywałe rozdrażnienie, czułem, jak umysł mój pod jakiemś, jakby fizycznem prawie dotknięciem zmienia kierunek, słowem, doznawałem nieznanego mi dotąd wrażenia, niby zmiany zwykłej świadomości na inną. Wszystkie władze mego ducha spotężniały i czułem, jak on szerokie i wspaniałe zatacza kręgi. Gdy tak przeglądałem księgę, prędzej, coraz prędzej, nagle — ujrzałem przed sobą przecudną twarz niewiasty. Był to portret wklejony widocznie między kartki rękopisu, a mógłbym powiedzieć, że ujrzałem kobietę, tak dalece, aż do zmysłowego pociągu płciowego, otrzymałem wrażenie rzeczywistości. Całym sobą odczuwałem obecność drogiej mi ludzkiej istoty, przenikałem jej najskrytsze myśli, najsubtelniejsze drgnienia duszy, jak gdyby czarodziej jakiś uwięził na tej białej karcie urok kobiecości.

Ta dusza ludzka, przeniesiona tajemną siłą w odległe wieki, hypnotyzowała mię przez oczy tego ślicznego oblicza, przesiąkniętego wdziękiem, którego żadnym wyrazem nie byłbym w stanie określić, a ten prąd nieokreślony, przepływający przez dwa zbliżone ze sobą, choćby przypadkiem, ciała ludzkie, kobiety i mężczyzny, drgał w moich nerwach i drażnił je. Źrenice te: pełne niewysłowionej tęsknoty, urzekały mię tajemniczym czarem, ogarniała mnie ogromna tkliwość, rodziła się miłość w mojem sercu i zmysłach, a świadomość, że mam tylko obraz przed sobą, drażniła nieprzyjemnie, jak odrobina gdzieś głęboko ukrytej filisteryi. Zastanawiałem się, dlaczego nie mam kochać kobiety, która pociąga mnie tak potężnym urokiem, a której osobowe istnienie myśli jest (dla mnie) tak bijącym w oczy faktem. Byłem w takim stanie podniecenia, że umysł mój błyskawicznie przelatywał cały łańcuch logicznych przyczyn w rozumowaniu i dochodził do ostatnich dostępnych krańców, które cudacznemi się wydadzą filistrom, bo tym trzeba każde ogniwo po porządku pokazać. Tylko twórczy umysł godnym jest być duchowym człowiekiem, inni niech gotują społeczny groch w glinianych garnkach. Mimo chęci z mej strony, niejako pod wpływem wyższego rozkazu, rozwiązywałem śmiało zagadkę zjawiska, które miałem przed sobą i swoich własnych uczuć.

* * *

Myśl ludzi zmarłych unosi się wszędzie wśród nas, żyje i ma swój zakres działalności. Wywiera ona wpływ potężny na nas, jest to jeden z tych elementów natury, które na nas codziennie działają, które co chwila czujemy, a przecież zasłona tajemnicy nie przestaje osłaniać ich przed naszym wzrokiem. Tylko czasem doznajemy jekiegoś ślepego uczucia, niby zmory na jawie, że coś jest blisko nas, coś, czego nie znamy. Przeczucia te, gdy staną się jasnemi, zmienią zupełnie nasze pojęcia o świecie. Dotąd, chociaż cały świat *widzimy przez pryzmat tej tajemnicy*, zablisko mamy ją przed oczyma, aby zobaczyć jej kształty. Ta myśl ludzka, osobowa część myśli wszechświata, jest dźwignią rozwoju, ona sprawia, że przez to samo tylko, żeśmy urodzeni w XIX. a nie n. p. w XI. stuleciu, jesteśmy sami przez się wyższym stopniem, dziełem i wynikiem, dalszem ogniwem w złotym łańcuchu myśli ludzkiej. Nauka doprowadza ten fakt do świadomości naszej tylko, która nas zacieśnia do pewnego wyłącznego zakresu, gdyż chwila, gdy duch nasz łamie gwałtem granice świadomości, jest właśnie chwilą natchnienia. Myśl ludzka już teraz jest częścią myśli powszechnej nieskończoności; gdy fakt ten zobaczymy i „odczujemy“, nastanie era zupełnego wyzwolenia myśli z pod władzy materyi. Dziś już mamy przeczucia, że duch będzie miał tylko przyczynowy związek z materyą, będzie to łączność taka n. p., jak między kulą ziemską a otaczającem ją powietrzem, które jest jej złożonym wytworem. Miałem w samym sobie dowód, myśl osobową oderwaną od materyi, z którą zchodziłem w dotykalne prawie zetknięcie.

. . . .

Tak myślałem o epoce przyszłości. Ale dla wyrażenia tego chaosu mglistych przeczuć, który powstał następnie we mnie, nie znajduję słów w mowie, a pojęć w myśli ludzkiej. . . . .

Ściemniło się zupełnie, zapaliłem świecę i wyjrzałem przez okno. Niebo przesłonięte w dzień, niby białym muślinem zmieniło się w kirową opokę, aleje parku wyglądały, jak czarne puszcze.... nie słyszałem tej groźnej ciszy, nie odczułem piękności tej czarnej głębi. W głowie czułem ból, spowodowany długiem i szalonem naprężeniem mózgu..... zdaleka dochodziły mię łagodne tony pastuszej fujarki, dźwięczące, nie jak nikły brzęk komara w tej potężnej symfonii natury. — Po chwili usiadłem znowu i rzuciłem wzrokiem na dalsze karty rękopisu; znalazłem tam dziwnie poprostu, a jednak niezwykle opowiedzianą legendę.

(Dok. nast)

Bronisław Grabowski.

C. GODEBSKI.



MIKOŁAJ KOPERNIK.

(Pomnik, odsłonięty w Krakowie z okazyi jubileuszu wszechnicy Jagiellońskiej).

Pomnijcie to sobie!

Błogosławiony, czyja ręka szczera,
Nie garnąc szczęścia samolubnie sobie,
Chwały i sławy ku własnej ozdobie,
Z uśmiechem słodkim ochoczo otwiera
Tych rajskich sadów i ogrodów wrota,
Które nam tutaj pycha, złość, głupota
Na setki zamków tak często zamyka.

Błogosławiony, co duszą przenika
Potrzeby innych i słodko zaprasza
Do tych ogrodów na dzień, co uwieńczy
Nagrodą słuszną cny zapał młodzieńczy
I silną wiarę w dobro i wytrwanie.
Błogosławiona ręka, z której czasza
Orzeźwia błogo wędrowca, nim stanie
U granic, poza któremi go czeka
Chłód odpoczynku, zapłata człowieka,
Który w winnicy Pańskiej się unuży
I czuje, że mu sił nie starczy dłużej.

Ale przeklęty, kto w szatańskiej pysze
Zapomni, żeśmy wszyscy towarzysze
Ziemskiej pielgrzymki i dni, które płyną
W męce zwątpienia i w chłodzie i skwarze.
Przeklęta ręka, która nie ukaże
Zbłąkanym wyjścia, która kamień ciska
Na drogę temu, co się trwożnie chwieje,
Gdy obrót losów bierze mu nadzieję
I urok życia, a zgiełk pośmiewiska
Tłuszczy wysiłkom jego towarzyszy,
Nim spokój znajdzie aż w mogilnej ciszy.

Wy, którym niebo dało możność, siłę,
Na ludzkie losy wywierać zawiłe
Wpływ, darząc innych zyskiem, albo stratą,
Jałową męką, albo też zapłatą
Za ciężkie trudy, pomnijcie to sobie,
Co Pan objawił nam w tej świętej dobie,
Kiedy człowieczą dolę dzielił z nami:
Że myśmy jedni drugim szafarzami
Szczęścia i dobra, że ołtarz ofiary
To braci naszych zła, lub błoga dola,
Że snop, co sobie zabierzemy z pola
Żywota, by z nim stanąć na dzień kary
Albo nagrody, da ciernie, lub kłosy,
Które wpletliśmy sami w bliźnich losy,
Że sami zyszczem chwasty, albo kwiecie
Z tego, co innym sialiśmy na świecie.

Władysław Witwicki.

Gustaw Vigeland.

Szkic z psychologii sztuki.

—

(Dokończenie).

Jest faktem powszechnie znanym, że pewne kombinacye linij i mas, budzą w nas pewne właściwe sobie uczucia. Jodła robi wrażenie poważniejsze, niż oliwka, lub jałowiec, szczyt górski inaczej na uczucia działa, niż step, człowiek słuszny i szczupły inne robi wrażenie, niż krótki a pękaty; słowem, inaczej działają linie proste długie, albo lekko gięte, niż krótkie, krzywe a zmieszane, inaczej masy wielkie i pełne, a inaczej masy podzielone na grupy. Tej właściwości mas i linij zdawna duch ludzki używał do zaznaczania swych uczuć i zastosował ten środek w architekturze i ornamentyce. Mowę uczuciową świątyń egipskich i greckich, pagód indyjskich, a przedewszystkiem mowę gotyku, renesansu i wszystkich stylów architektonicznych rozumiemy dziś całkiem wyraźnie i używamy jej dziś równie, jak dawniej.

Kto dziś stawia willę mającą robić wrażenie wesołe i lekkie, ten giętej architektury rokoko używa, kto poważny gmach nauki, czy modlitwy, buduje, ten do ostrych, strzelistych słów gotyku sięga. O tyle tylko my niżej stali od dawnych wieków, że tamte swojemi mówiły słowy, że oryginalne miały nastroje, własnemi też kombinacyami linij i mas je zaznaczały, my w wieku dziewiętnastym za niemi powtarzali, jak dziecko, co obcemi włada językami, ale własnej mowy nie posiada. — Dopiero „nowoczesna“ architektura usiłuje oryginalnemi liniami i oryginalnemi kombinacyami mas wyrażać w gmachach powagę, czy lekkość, siłę, czy grozę, czy cośkolwiek innego, stosownie do potrzeby i celu.

Ten sposób wywoływania uczuć pewnych, pewnemi liniami znalazł zastosowanie nietylko w architekturze, ale w użycie wchodził czasami dawniej, a najobficiej w czasach dzisiejszych w malarstwo i rysunek. Na tem polu zastosowanie jednak nie było tak proste, jak w architekturze.

Już w budownictwie zdarzały się kolizye pomiędzy użytecznością mas wybudowanych, a ich znaczeniem uczuciowem. Pałacyki rokoko były wesołe, ale nie zawsze musiały być wygodne, renesansowe gmachy imponowały siłą i równowagą, ale zatrzymywały śniegi na dachach. Te kolizye zresztą były mniejszej wagi i niezbyt estetycznej natury. W malarstwie od czasów renesansu inaczej się rzecz miała. Tu artysta miał zgóry postawiony postulat: Masz malować człowieka wedle schematu Greków i Leonarda. Ciało ludzkie malowano przeważnie, a malowano je albo schematycznie wedle wzorów starych, albo ślepo wedle natury. Trudną była sytuacya malarza, któryby chciał do ciała ludzkiego wprowadzić architektoniczny czynnik symbolicznej mowy linij i mas. Trudną, bo mimowoli musiałby wejść w kolizyę z pięknem schematycznem, lub prawdą naturalną, bo musiałby pewne linie ciała zrobić stosownie do ich zamierzonego znaczenia dłuższemi, inne skrócićby musiał, te masy obciążyć, tamte zebrać zupełnie tak, że twór skończony raziłby dysproporcyami, drażniłby oko wrażliwe i wyćwiczone w ocenianiu harmonii linij i mas. A mimo to znaleźli się ludzie tak śmiali i weszli w konflikt z harmonią linij, byle tylko wyrazić się w dziełach swoich, byle liniami swych dzieł powiedzieć drugim to, co sami czuli, tworząc. Więc Michał Anioł głowy robi 13 razy krótsze od ciał, co grzechem było śmiertelnym przeciwko schematowi greckiemu — więc mięśni góry całe napiętrza na rękach i barkach swych ludzi, więc rzeźbi ich ostro i głęboko — i wyraża tym sposobem moc, siłę i potęgę, tak genialnie, jak tego nikt po nim nie uczyni. I niepierwszy on i nieostatni malarz bunt podnosi przeciwko pięknu linijnemu.

W nowoczesnych obrazach dysproporcyi mnóstwo widzimy, tylko, niestety, dysproporcyi czysto mimowolnych i bezcelowych, a przynajmniej nieudałych. Jeśli artysta przekręca kształty ciała ludzkiego i wyrazi w tem myśl jakąś, związaną z tematem dzieła i zbudzi tem pewne uczucie, zgodne z nastrojem całości — wówczas dysproporcya jest malarza zasługą, dowodem jego mistrzowstwa i odwagi, — ale jeżeli nam daje ciała koszlawe, niedołężnie rysowane i nie wywoła w nas tem żadnych uczuć, prócz niesmaku i nie pozwoli niczem innem wytłómaczyć istnienia fałszów rysunkowych, jak tylko nieuctwem artysty — wtedy dzieło na pochwałę nie zasługuje i już nawet krytyce nie podlega.

W malarstwie tak pojęta symbolika linij dziś ma już swą historyę, rzeźba dłużej, niż pędzel szła za wzorami Greków, dłużej też czekała na symbolistę mas i linij, niźli inne sztuki.

Vigeland pierwszy w rzeźbie tego wieku odważył się na śmiały krok wzgardzenia prawdą i harmonią linij dla uzyskania z nich wyrazu swych uczuć. — I jak każdy pionier nowej myśli, i on wpadał chwilami w przesadę. I jemu trudno było posunąć symbolikę linij tylko tak daleko, by uczucia przykre, zbudzone zatraceniem prawdy i piękna linijnego, nie przeważyły estetycznej przyjemności, jaką daje fakt jasnego tłumaczenia się myśli artysty. — Przykładem tego były dwie jego grupy w „Życiu“ krakowskiem zaprodukowane, które też u nas imię Vigelandowi zepsuły. I nic dziwnego. — Zrozumieć je można, wytłómaczyć i ocenić bezstronnie dopiero wtedy, gdy się, na inne jego dzieła patrząc, pozna myśl przewodnią, charakter i środki artystyczne autora, gdy człowiek pozna, że artysta ten p o t r a f i rzeźbić pięknie w znaczeniu potocznem, czego dowody złożył choćby w „Biuście“, „Aniele ukojenia“ i tylu innych grupach.

„Biust“ odznacza się ogromną siłą charakterystyki i delikatnością dłuta. Znamienne cechy tej twarzy zaakcentowane wyraźnie i niedwuznacznie, a subtelne wgięcia i wypukłości wykończone tak, jakgdyby pędzel je oddawał, a nie glina, czy twardy brąz.

W „Pocałunku“, gdzie mężczyzna stojący wstecz się przegiął i ręce wpił w ciało kobiety, w powietrzu na jego postaci oplecionej — artysta jej włosy gorączkowym rzutem, kabłąkiem gorącym w powietrze cisnął i linie, zdołu biegiem rakiety wykwitające, ku górze tak pokłębił, że choć ich twarzy w reprodukcyi nie widać, w liniach ich ruchów mamy ten płomień wyrażony, któryby inny rzeźbiarz daremnie pragnął niecić w rozwartych powiekach marmurowych źrenic.

Te same linie rwane, kręte i gorące mówią do nas w innej grupie, zaledwie podznaczonej w płaskorzeźbie. Tytułu tej rzeźby nie można podać, jak nie można i nie potrzeba wogóle grup jego tytułami oznaczać; tłómaczą się tak wyraźnie, są tak bezpośredniemi wyrazami potężnych uczuć, budzących się na tle instynktów ogólnoludzkich, że jedyny tytuł dla każdego z nich równie stosowny — to obrazowy zwrot Przybyszewskiego: „Krzyk nagiej duszy“, zwrot u nas, z winy może i jego autorów, tak mało zrozumiany, a osławiony tak niesprawiedliwie.

Idźmy dalej. — Artysta daje nam „Ojca“ schylonego nad dziećmi i nie modeluje go z natury, bo tam możeby niedość słów znalazł do wyrażenia nastroju tej cichej łagodności, tej dobrej opieki i uśmiechniętego smutku, jaki włożył nam w jego gotyckie, zbyt długie linie, w jego ciężkie, schylone barki i powieszone nad dziatkami ręce. — Dzieci nieproporcyonalnie małe i ojciec skutkiem tego wyższym się wydaje, a przecie takim bliskim, a tak po ojcowsku schylonym! I tu nie rażą nas dysproporcye, bo tu potrafił artysta, obok symboliki linij i mas, wykorzystać i inne środki artystyczne w wyrazie twarzy i naturalnych ruchach złożone.

Gdzieindziej rzeźbi nam Vigeland człowieka, na ręku podpartego, jak w za-

myśleniu gorżkiem, oczy w dal utkwił, a u nóg jego wije się kobieta. On od niej duchem odchodzi, a jej szał zostaje. Coś przerażającego i strasznego jest w tej sytuacyi; dreszcz okropności nas zbiera, gdy na tę grupę patrzymy. A gdzie źródło tego uczucia? Jak je wywołał rzeźbiarz? — Oto, kształty dał mężczyźnie potworne i to ich widok tak wstrząsa duszą człowieka, gdy na rzeźbę patrzy i widz, albo sam nie wie, skąd mu to wrażenie przychodzi, albo je zrazu mylnie do przedstawionej sytuacyi odnosi.

Nędzarza rzeźbi Vigeland, a raczej symbol nędzy, raczej wcielony „Płód szatana" i człowieka nam pokazuje tak chudego przeraźliwie, tak wynędzniałego okropnie, że choć prawda na tem cierpi może, ale zyskuje wyrazistość dzieła. W tej postaci niema jednego milimetra, któryby nie był charakterystycznym dla nędzy. W rzeźbie tej potworność — to tylko przesadna charakterystyka.

W jednej z grup mamy człowieka schylonego nad trupem kobiety. Człowiek patrzy na jej łono i kamień, którym ją zabił, a ona wyciągnięta przed nim, i martwa i spokojna bardzo liniami, i wyrazem, i ruchem. Jemu żal i wstyd twarz wykrzywiają, a męka duchowa bezwładnym go na skałę nad nią porzuciła, a ręka mu ciąży strasznie, jak wielka kropla ołowiu. I taki jest ogrom smutku ciężkiego w tem bezsilnem opuszczeniu nieproporcyonalnie ciężkiej pięści, że nie wiedzieć, doprawdy, jakim innym środkiem mógłby artysta to samo wrażenie wywołać.

W innej grupie starców para zgrzybiałych siedzi i na śmierć czeka. Ich wielki, cichy, niezakłócony spokój, jak gdyby słońca blado zachodzącego, zakuł rzeźbiarz w linie egipskich kolosów, w ich pozycyę martwą i bez ruchu, w wyraz ich twarzy cichy, uśmiechnięty, w spokojne a sterane ciała, które z bezwzględną prawdą modelował. Mógł ich przecież posadzić w pozycyi nie wiem, jak estetycznej, mógł ich pozaokrąglać i wyklasycznić, mógł z nich zresztą zrobić starców idealnych z brodą i orlim nosem, jak to starzec „powinien być" — on zrobił ich takimi, jakimi ich mieć chciały jego uczucia, on im te linie i te mas kombinacye nadał, jakie się z jego nastrojem w chwili tworzenia połączyły.

Największą jego kompozycyą, w której tkwią jego wszystkie znamiona istotne, wszystkie właściwości jego twórczej duszy, wszystkie jego cechy wykonawcze, to płaskorzeźba: „Piekło". Znane u nas tylko z reprodukcyi, a tak potężne ze wszech miar, tak bezmiernie i tak estetycznie wstrętne, że, nie mając dłuta Vigelanda w ręku, nie warta się kusić o oddanie go słowem. Wśród niego, wśród masy półżywych, a półprzegniłych, a po dantejsku strasznych ciał, jako postać główna i królująca, „Szatan" siedzi podparty na pięściach zaciśniętych. „Szatan" ten, to jest kompozycya najpotężniejsza z pośród Vigelandowskich i jedno z największych dzieł sztuki na świecie. — Tego, co Vigeland powiedział jego czołem, oczyma, wargami, ruchem, barkami, kształtem, i pozycyą nóg, i pięściami, słowem: linią i masą — nie powiedział jeszcze żaden twórca szatana.

Chyba Bóg sam, kiedy go stwarzał, miał taki obraz na myśli. Michał Anioł, Dürer, Wiertz, Stuck, Schneider, Wyspiański i inni miewali podobne pomysły i tworzyli, ale żaden z nich nie pomyślał szatana tak, jak Vigeland i żaden z nich tak go nie odtworzył. I gdyby Vigeland nie wyrzeźbił nic, tylko jedno swoje „Piekło" dał, już byłby wielkim i oryginalnym.

Artysta on jest dzisiejszy, poeta, filozof i rzeźbiarz, mistrz myśli i dłuta, a dzieła jego — to wielki krzyk nagiej duszy.

To jest krótka charakterystyka dzieł jego, to mdła sylwetka jego, jako artysty.

Ona wprawdzie nie wystarczy, by wniknąć w głąb duszy Vigelanda; nie wystarczy, żeby nawskróś przejrzeć, bo kto wie, jak w nim samym wyglądały stany wewnętrzne, które my dziś z odłamków naszych własnych zjawisk duchowych chcemy odtworzyć, dopełnić i rozebrać; kto wie, jakiemi drogami może iść duch ludzki, nim do takich dzieł sztuki dorośnie, kto wie? — Ale wystarczy to, by na dzieła jego módz patrzeć, wystarczy, by to, co w nich razi, przyczynowo próbować tłómaczyć, by to, co w nich nowe, ocenić, a to co jest wielkie — uwielbić.

List ze Lwowa.

Szanowny Redaktorze!

Gwałtu! Trzęsę się cały z oburzenia! Ze strachu przyjść do siebie nie mogę — a z nawpół łysej mej głowy, włosy z przerażenia poczynają odrastać! Jakto?! Mój list, list p r y w a t n y, do Ciebie przeznaczony, list, w którym ci wyłuszczyłem, dlaczego żądanych odemnie „kronik" pisywać nie mogę, ten list umieściłeś *in extenso* w *Tygodniku*!!! Bój się Boga, Redaktorze, coś uczynił? Rzecz niesłychana! Zaledwie kilka tygodni bawisz we Lwowie, a już nauczyłeś się rozporządzać cudzą własnością! Ohydne miasto! Najczystsi nawet przesiąkają jego wadami! Naraziłeś mnie na najokropniejsze nieprzyjemności i najprzeraźliwsze przykrości, których dotąd wprawdzie jeszcze nie zaznałem, które jednak na kształt piętnastu mieczów Damoklesa wiszą nad moją biedną, skołataną, przerażoną, stroskaną i ołysiałą głową! Jak twarz Meduzy, wężami otoczona, tak wyglądają oblicza ludzi, którzy niedawno przyjaznym uśmiechem mnie witali! — Cała karyera moja zwichnięta! A wszystko dzięki Tobie, Redaktorze! Daremnie przepraszasz i uspokajasz. Mam „boja" — czyli inaczej mówiąc, „stracha", — co zresztą moje nazwisko w zupełności usprawiedliwia. Odtąd już nigdy, przenigdy o nikim i o niczem pisać nie będę! *Dixi*!

Uwzględniając jednak prośbę Twą, kochany Redaktorze, oraz fakt, że nie znasz jeszcze dokładnie tutejszych stosunków i stosuneczków, a potrzebujesz koniecznie dobrych informacyj, zgadzam się na przysłanie Ci wiązanki drobnych wiadomości, które pozwalam Ci zużytkować, pod warunkiem, że nikt o tem wiedzieć nie będzie. Więc cicho! Sza!

Najpierw podaję Ci tu szczegóły, których nigdzie, w żadnym dzienniku nie czytałem, o zebraniu „ziemian" w kasynie „ziemiańskiem", zebraniu, zwołanem przez znanego „ziemianina", dra Tadeusza Pilata, celem wysłuchania kołowych wyjaśnień posła Kozłowskiego, oraz króciutkiej — jak zwykle — mowy Jego Ekscelencyi hr. Wojtka.

Wiadomo Ci, kochany Redaktorze (a może i niewiadomo), że kasyno „ziemiańskie", (które we Lwowie nazywają „kartoflanem" —tak, jak kasyno Narodowe zowią „końskiem") liczy 299 członków, wśród których jest 55 lekarzy, 27 profesorów, 109 urzędników i 156 adwokatów; reszta — to już sami „ziemianie". Ci ostatni, przykładnie na roli swej siedzący, rzadko w tem kasynie „ziemiańskiem" się pokazują, skutkiem czego na razie zabrakło „ziemian" do wysłuchania konserwatywno-demokratyczno ziemiańskich kombinacyj pana Włodzimierza. Zaproszono tedy członków i nieczłonków, kartoflarzy i niekartoflarzy, żonatych, wdowców i kawalerów, a nawet wdowy, mężatki, panny i dzieci. Było nawet 2 Ormian, 1 Turek i 1 Chińczyk. Ponure sale kasyna się rozjaśniły, cichy przybytek zawsze nieobecnych hreczkosiejów zaroił się ludem, który wysłuchawszy „wyjaśnień", mocno był zbudowany owym decydującym wpływem, jaki nasi polityczni reprezentanci wywierają na losy Austryi i wogóle całej Europy. – Wprawdzie jakiś słaby i cienki głosik odezwał się z żądaniem, by w przyszłości mniej się zajmowano austryacką polityką, a więcej myślano o naszym kraju, gdyż ta wielka politykomania, to nasze największe nieszczęście, ale go jakoś wesoło zakrzyczeliśmy.

Po oficyalnych mowach i dyskusyach odbył się *cercle*, po którego skończeniu, korzystając z obecności tylu różnorodnych osobistości, najróżnorodniejszego zawodu, wieku, a nawet płci i biorąc asumpt z poruszonego przez ów słaby i cienki głosik „n a j w i ę k s z e g o n i e s z c z ę ś c i a" — interwiewowałem nasze najpopularniejsze osobistości na temat:

C o u w a ż a ł y b y z a n a j w i ę k s z e n i e s z c z ę ś c i e n a ś w i e c i e?

I oto, kochany Redaktorze, odpowiedzi, jakie zebrałem:

Dr. T. P i l a t: Gdyby wszyscy członkowie stronnictwa ludowego zapisali się do kasyna ziemiańskiego!

Dr. P i ę t a k: Gdybym na zawsze musiał zostać ministrem!

Exc. Dawid A b r a h a m o w i c z: Gdyby mnie znów wybrano prezydentem Izby, a Badeni stał na czele gabinetu!

Poseł K o z ł o w s k i: Gdyby wybory wogóle skasowano!

Poseł R o j o w s k i: Gdyby mi kazano oddalić najpiękniejsze moje hafciarki z Humenowa!

Exc. D z i e d u s z y c k i: Gdybym oniemiał!

Poseł R o t t e r: Gdyby hr. Andrzeja wybrano prezydentem Krakowa!

Hr. A n d r z e j: Gdyby Rottera obrano prezydentem Krakowa!

Dr. R u t o w s k i: Gdyby mnie nie zrobiono wreszcie ministrem!

P. R o m a n o w i c z: Gdyby Koźmian objął redakcyę „Słowa Polskiego"!

P. K o ź m i a n: Gdyby Romanowicz został redaktorem „Czasu"!

P. N a m i e s t n i k: Gdybym musiał wiedzieć, co się dzieje w kraju i nigdy z niego nie wyjeżdżać!

P. M a r s z a ł e k: Gdybym musiał być dla wszystkich uprzejmym!

Chciałem w dalszym ciągu wypytywać polityczne osobistości, lecz zbliżyła się nagle do mnie czerwona Ekscelencya

i z wysokości swej prezesury Koła Polskiego krzyknęła z gniewem:

— „Dotąd! — a nie dalej“!

Umilkłem więc i zwróciłem się do świata artystycznego i do innych *simplices servos Dei*.

Oto, co mi odpowiedziano:

Pani Stachowicz: Gdyby mój grek został nagle turkiem!

Pani Kwiecińska: Gdybym się postarzała!

P. Feldman: Gdybym umarł!

P. Malawski: Gdyby wysokie *C* leżało jeszcze wyżej!

Chórzystki opery lwowskiej: Gdyby zwyczaj Eskimosów, zabijania starych kobiet, przyjął się w naszym kraju!

Pani A. Gedroić-Matuszewic i p. Colonna Walewska chórem:

Gdybyśmy przestały pisać!

Modernistyczny pisarz: Gdyby każde zdanie musiało koniecznie mieć jakiś sens!

P. Pawlikowski: Gdyby Heller musiał być moim wspólnikiem!

P. Heller: Gdybym musiał objąć teatr z Pawlikowskim!

P. Bartoszewicz: Gdyby mi kazano mieszkać we Lwowie!

14-toletnia panna: Gdyby Paderewski ołysiał!

Maturzysta: Gdyby Pawlikowski nie zaangażował panny Schuppówny!

P. Kucharski: Gdyby Marszałek zrezygnował!

P. Wysłouch: „.......“!*)

Uciekłem.

W kilka dni później, odbyła się „narada poselska“, w której wziął udział najwybitniejsi posłowie do Rady państwa, bawiący chwilowo we Lwowie i korzystający w całej pełni z błogosławionego stanu słomianego wdowieństwa.

Uchwalono, co następuje:

1. Wysłać telegram do dr. Piętaka, zawiadamiający go, że rzeki Galicyi ponad program rządowy wylały.

2. Wysłać telegram, przerywający pławienie się p. Namiestnika w ostendzkiem morzu i zwracający uniżenie jego uwagę iż przysłanych 200 koron w żaden sposób nie można rozdzielić wśród kilka tysięcy powodzian.

3. Wysłać telegramy kondolencyjne do wszystkich bez wyjątku powodzian.

4. Wysłać telegram do Karlsbadu, z życzeniem szczęśliwej kuracyi dla pana prezesa i z doniesieniem, iż posłowie podczas „poselskiej narady“ — przyśli jednomyślnie do przekonania, że prawica stanowczą mieć będzie większość wówczas, gdy lewica i centrum głosować będą zawsze razem z prawicą, a parlament stanowczo będzie funkcyonował prawidłowo, jeżeli nikt żadnej obstrukcyi nie urządzi.

5. Pójść gremialnie o 9. wieczór do Fleischmana na raki.

Program podobno spełniono co do joty.

Cóż ci mam jeszcze opowiedzieć, kochany Redaktorze?

Aha! — podobno pewna wybitna osobistość, której sprzykrzyły się już pojedynki na podstawie §. 19. ze znanym tutejszym i ogólnie lubianym właścicielem polskiego dziennika — otrzymała rozkaz objęcia komendy nad eskadrą chińską.**)

Złodzieje lwowscy (a jest ich chmara) przerażeni są wiadomością, że hofrat Krzaczkowski idzie na pensyą!

Tak im było z nim wygodnie!

Malcia Furman, która, bawiąc we Włoszech, zachwyca się obecnie Prerafaelitami, wniosła podanie do króla Humberta o pozwolenie przybrania nazwiska „di Furmano“, — i wychodzi zamąż za włoskiego księcia Paulo Furore del Cantaridini.

W ostatniej chwili dowiaduję się, że na wzór sekt chińskich, mają powstać u nas w najbliższym czasie:

1. Sekta Anti-Po-Datk-Owa, na wzór sekty „głowy wołowej“ (Nien-Tu-Kiao).

2 Sekta Anti-Og-In-Ska na wzór sekty „lilii białej“ (Sai-Lien-Kao).

3. Sekta Anti Rzą-Dow-A. na wzór sekty „bez matki przyrodzonej“ (Vu-Xang-Lao-Mu.)

4 Sekta Anti-Gol-Jcyj-Ska, na wzór sekty „początku biodra nagiego“ (Po-Iun-Tsum.)*)

Wszystkie te sekty wybrać mają jednego głównego naczelnika, który nosić będzie tytuł „Wielkiego Kułaka“ — a który, jedyny w całej Austryi, uwolnionym być ma od wszelkich podatków gruntowych, domowych, czynszowych, krajowych, indemnizacyjnych, powiatowych, szkolnych, drogowych, gminnych, zarobkowych, dochodowych, rentowych, pensyjnych, konsumcyjnych itd.

Kandydatów na to stanowisko zgłosiło się już dotąd 6,431.457. — Wszyscy rodem z Galicyi!

Wybranym będzie także „Wielki Skarbnik“ — którego obowiązkiem będzie, wnosić rekursy przeciw wymierzonym podatkom.

Stanowisko to, jako honorowe, mają powierzyć p. Korytowskiemu.

* * *

Ale już dosyć tych wiadomości!

Rzecz prosta, że to wszytko, co tu piszę, nie nadaje się wcale do druku. Wybierz, kochany Redaktorze, z tego chaosu, co uważasz za stosowne i palnij na podstawie niektórych wiadomości artykuł wstępny polityczny — inne rzeczy użyj w kronice, — a resztę w inseratach. — Dobry gospodarz wszystko potrafi zużytkować — nawet sieczkę! Wkońcu błagam cię i zaklinam, byś nikomu nie wyjawił, od kogo masz te informacye! Bój się Boga, nie zdradź mnie, bo dyabli wezmą złoty kołnierz, do którego z rozmiękczonem sercem wzdycham — ja i moja żona — od lat 15-tu, a którego z całą zawziętością domaga się odemnie teściowa.

Więc cicho! Sza!!!

Twój — itd. *Strachajło.*

Jacek Brzytewka.

Trzeba to raz poruszyć...

Ktoby to się był kiedy spodziewał, że ja, Jacek Brzytewka, będę bronił Warszawy! A muszę. Co ważniejsza, że mi tu nie o Warszawę chodzi, lecz o coś więcej. IMć. pan także Jacek, ale Gorczyca, natarł kochanej warszawskiej Syrenie takiego pieprzu w nos, że aż kichać niemiło.

O cóż tu właściwie chodzi?

Krótko mówiąc, p. Gorczyca utrzymuje, że Warszawa lekceważy Lwów, przeważnie literackie i artystyczne stosunki lwowskie, że fabrykuje „wielkich“, „modnych“, „głośnych“, że ona tylko posiada „prawdziwych uczonych, publicystów, powieściopisarzy, dramaturgów, poetów, malarzy, rzeźbiarzy“, a we Lwowie „talenty rodzą się, jak grzyby po deszczu“, chociaż „artyści tłuką tutaj bryndzę“ a poeci kończą karyerę na dyurnach“, a, co najwyżej, na urzędach w Wydziale krajowym, lub magistracie.

Artykuł Gorczycy musi się podobać bardzo wielu ludziom, bo łechta popularne uczucie miłości własnej wszystkich pisarzy, u których bywa ona często większa, niż talent, a nawet zwykła pracowitość. Która gęś uderzą, ta gęgnie. Nikt na to lekarstwa nie wynalazł — nawet w Paryżu. Dzieje się to samo w Warszawie, co i u nas, a Gorczyca nie chce sobie tylko przypomnieć tego, co w Warszawie pisano i piszą złego o warszawskich stosunkach literackich. Źle jest wszędzie; u nas w Polsce jest lepiej, niż wszędzie, bo nasza prasa i literatura mają przed sobą wspólny, wielki sztandar, który nas broni od sprzedajności, przekupstwa, szantażu itp. naroścì na ciele prasy europejskiej. Dobrze więc, że się krytykujemy, bo za pomocą krytyki kontrolujemy naszą uczciwość publiczną, ale nie dopuszczajmy do krytyki osobistego niezadowolenia, bo wówczas przeradza się ona w — gorczycę. Nie jest to żadna aluzya do nieznanego mi autora artykuliku „Raz to trzeba poruszyć“... lecz prawda. Zamiast poznawać się i wyrozumiewać nasze wspólne stosunki, krytykować je nie dlatego, że warszawskie lub lwowskie, lecz dlatego, że są złe, my wprowadzamy jakiś *sui generis* partykularyzm, jakiś patryotyzm lwowski, krakowski, warszawski, nad którym powiewa hasło: bij, Mroczku, żydy! Alboż nas mało biją inni?

Daj Boże w dobry czas mówić, a w zły milczeć — powiada przysłowie. Kto wie, czy się to nie da zastosować do tego wypadku. Budźmy szlachetne zawiści, ale maleńkich — nie.

Warszawa jest wielkiem ogniskiem umysłowem i to się zaprzeczyć nie da. Mówię umysłowem, to znaczy nietylko literackiem i artystycznem i pod tym względem posiada zalety i wady wielkiego, europejskiego miasta. Inaczej powiedziawszy: skupia w sobie siły umysłowe. Jest to następstwem każdej siły, każdej materyalnej wielkości, że ona przyciąga do siebie inne i przetwarza je w pewną całość. Poza przyczynami fizycznemi, że tak powiem, są jeszcze niemniej ważne. Przedewszystkiem, na literaturę musimy poniekąd zapatrywać się, jak na towar zaspokajający potrzeby umysłowe ludzi, azatem podlega ona tym samym prawom popytu i podaży, jakim podlega każdy towar. Gdzie jest rynek zbytu większy, tam zwiększać się musi produkcya, a jeżeli jej miejscowe siły nie zaspokajają, przychodzą z pomocą zamiejscowe. Jak na każdym rynku, muszą być składy hurtowe, wielkie, jakoteż małe, detaliczne, że tak powiem, handle. Zwracam tylko uwagę na ten punkt, do którego później wrócę.

Porównanie moje wyda się poetom, opiewającym kwiaty, miłość, smutek, jakoteż pannom, pisującym nowele, tak zwane

---

*) Strach. co powiedział! Nie śmiem nawet tego powtórzyć!!! To całe szczęście, że p. Heyderer na urlopie!

**) Dz. Polski otrzymał właśnie dziś telegram z Pekinu na własnym drucie, zaprzeczający tę wiadomość, z powodu sprzeciwienia się Li-Hun-Czanga.

*) Patrz „Gazeta Narodowa“ z d. 19. lipca N. 197.

z „życia“, czemś potwornem. Cóż robić! Nie cofnę się nawet przed anatemą, bo wiem, że poza czułemi sonetami i głupiemi — za pozwoleniem — nowelkami, są prawa ekonomiczne; one to rządzą nawet naszemi nieprawidłowemi stosunkami. Wiekszy rynek zatem musi z pewną reklamą, rozgłosem sprzedawać swoje towary, bo to jest właściwością nie towaru, lecz handlu. Czy to można brać za złe Warszawie? Nigdy w świecie! Handel nie wytwarza wielkości żadnych, nigdy, nigdzie i w literaturze zatem, one wytwarzają się same. Wielki poeta urodzony we Lwowie, nie przestanie być wielkim, chociażby Teodor Jeske Choiński słówka o nim nie napisał; wielki filozof będzie filozofem, chociaż Julian Ochorowicz, znakomity znawca ras końskich i wyścigów, nie napisze przedmowy do jego filozoficznego dzieła w „wyborowej“ bibliotece Juliusza Granowskiego, także znakomitego — no, mniejsza o jego znakomitość! Nie mieszajmy więc pracy, talentu, zasługi z reklamą różnego rodzaju blagierów literackich.

Inszy król, a insza pani Baranowska.

Zgodzę się z Gorczycą na to, że Warszawa nie jest alfą i omegą dla naszej literatury i sztuki wogóle w takim stopniu, w jakim są stolice państw samodzielnych, ale że jest ogniskiem wielkiem dotychczas, to się zaprzeczyć nie da, bo istnieje bibliografia. „Wyższość“ jej nie pochodzi wszakże „z lokalnego patryotyzmu“, lecz raczej z tej siły moralnej, jaką w życiu naszem politycznem i narodowem okazała wówczas, kiedy jeszcze nie posiadała tak znakomitych... krytyków, jak Jeske Choiński, tak wielkich... filozofów, jak Julian Ochorowicz i tak pomysłowych... wydawców, jak Juliusz Granowski. Oddajmy każdemu co mu się należy. I we Lwowie „nie rodzą się talenty, jak grzyby po deszczu“. Brzegi Pełtwi bardzo nieurodzajne na grzyby utalentowane — w naszych czasach przynajmniej. Pod względem literackim u nas bardziej juszno, niż rybno. Ponieważ *nomina sunt odiosa*, nie wyliczam znakomitych powieściopisarzy i poetów, artystów-malarzy etc., których możnaby uważać za *pur sang* Nadpełtwianów.

Ale bądźmy sprawiedliwi. Jeżeli chodzi o twórczość artystyczną — wschodnia Galicya, której Lwów jest stolica, produkuje mało, ale natomiast wzmaga się u nas tj. we Lwowie i Krakowie nauka. I to wszakże jest rzeczą zrozumiałą. Nie może nauka tam kwitnąć, gdzie szkół dobrych nie ma, gdzie rząd stawi przeszkody jej rozwojowi. I przyjdzie czas — a nawet dziś to już się dzieje — że Galicya będzie zasilać Królestwo światłem nauki. Wynika to z bardzo smutnej dla nas, lecz prostej przyczyny, rozbicia narodowego. Życie nasze polityczne, narodowe i rozwój umysłowy nie szły prawidłowo, spokojnie, równo, tylko wytwarzały się większe ogniska tam, gdzie chwilowo warunki stawały się lepsze, a często pomimo nieprzyjaznych warunków. Wówczas, kiedy w Warszawie było ubóstwo literackie — straszne, kiedy królowali Dmochowscy, Wilno trzymało palmę pierwszeństwa. Czyż trzeba tego dowodzić? Imiona Śniadeckich, Grodków, Mickiewiczów, Słowackich, Kraszewskich i tylu innych — wszystko to promienie wileńskiego słońca. W tym czasie, kiedy Warszawa produkowała same miernoty, Lwów prym trzymał w literaturze; miał najlepszą prasę i takich dzielnych, a często nieśmiertelnych ludzi, jak Szujski, Szmitt, Szajnocha, Bielowski, Lam, Dzierzkowski, Ujejski, Grottger i tylu innych. Trzeba pamiętać o tem, że niezawsze przy dworze gody, czasem — głody. Na wielką twórczość artystyczną i umysłową narody nie zdobywają się codziennie. I Lwów miał zanik przez całe pokolenie, które po 1863 nastąpiło, ale dźwigamy się i to dźwigamy się potężnie na każdem polu, a jeżeli przyjdzie chwila, wierzę ze smutkiem, że przyjdzie — kiedy Lwów i Kraków znowu na czele umysłowego rozwoju Galicyi i Polski staną, będzie to z pożytkiem i dla chluby nie Lwowa i Krakowa — lecz narodu polskiego.

Niesłuszne jest twierdzenie IMć pana Gorczycy, że Warszawa lekceważy Lwów — czytuję pilnie polskie pisma i nigdzie tego nie dopatrzyłem; niesłuszna jest chluba nasza z tego, co Galicya Warszawie daje — należałoby Warszawę pod chejrem zapytać o to. Przeciwnie — Galicyanie mają tam niezbyt tęgą sławę, bo przekonania mieniają, jak rękawiczki, a z obozu do obozu przechodzą tam — gdzie lepsze siano. W żołnierzu, jakim jest każdy publicysta i pisarz, nie jest to przymiot bardzo cenny, bo niewiadomo, w jakich warunkach liczyć na wymowę i odwagę takiego żołnierza.

A jednak w gruncie rzeczy, w słowach IMć p. Gorczycy tkwi prawda. Spostrzeżenia jego są słuszne, ale źle umotywowane, a złe da się wówczas dopiero poprawić, gdy przyczyny jego znamy. Przyczyn po części dotknąłem: nieprawidłowych stosunków wydawniczych. Warszawa posiada organizacyę wielkiego handlu i dlatego towar, że użyję wyrazu kupieckiego, narzuca, umie go puścić. A nasi wydawcy? To, za pozwoleniem, sklepikarze, którzy książkę kładą na półkę, jak świece, mydło, zapałki i czekają póki ktoś kupi — za grajcar. Wiem, że żaden z tak zwanych naszych wydawców, nie uwierzy w to i nie przyzna się do winy, ale ja mam odwagę zapytać każdego pisarza we Lwowie: niech pod słowem uczciwości przyzna się, ile razy z naszym wydawcą zrobił interes dobry, lub wyszedł — iż powiem grzecznie, nie obmawiając nikogo — na czysto? Raz zdarzyło mi się zapytać wybitnego wydawcę warszawskiego: dlaczego pan nie bierze nakładów p. X.? Zamiast odpowiedzi, poszedł do biórka, otworzył księgę główną i pokazał rachunek lwowskiego mecenasa — od kilku lat niezapłacony. „Po co mi takie stosunki — powiada — kiedy ci panowie nie wiedzą, co termin, co słowo, co zobowiązanie“. A proszę z takim panem pomówić chwilkę — fju, fju, fju! niczem Bismark wobec takiego dygnitarza. To też Żupańscy wydawali Lelewelów, Herodotów, Ksenofontów, Wild-Szujskich i Szajnochów, Gebethner i Wolf — Sienkiewiczów, Krechowieckich, Prusów, Reymontów i in., Lewental-Orzeszkową, Jeża — a nasi? Książeczki po dziesięć groszy, bo one są w prostym stosunku do ich wielkości. Cóż dziwnego, że wobec sklepikarskiej apatyi naszego świata wydawniczego, we Lwowie "dziecko muz" oddane do nich „na mamki“ — z braku powietrza i słońca zdecha — mówiąc krótko. Nasi wydawcy nietylko na warszawskim, lecz na lwowskim rynku nie umieją puścić swego towaru, cóż dziwnego, że szeroka publiczność zapóźno poznaje nawet tych nielicznych pisarzy, jakich Lwów w murach swoich zgromadził?

No, a my — pisarze — bez winy? Przecież połowa u nas nie zna się ze sobą, a większa połowa nie styka się nigdy.

Czasem widujemy tylko naszych „wielkich“, posuwających się ostrożnie, jak naczynia szklane, przez ulice, zjadających w brudnych knajpach gulasze — wątpliwej sławy, — ale żadna publiczna sprawa ich nie zgromadzi. Oni nie chcą znać nic i nikogo a pragną ażeby ich wszyscy znali i kupowali ich dzieła; oni dla każdej pracy mają tylko słowa lekceważenia, a pragną, ażeby ich pracę szanowano; oni obojętni na wszystko, oprócz gulaszu z dodatkami, jakże mogą rozbudzić życie dokoła siebie? Kto w ogon wierzy, ten piórko z ogona znajdzie. Jużci nie mówię tu o wszystkich bez wyjątku, lecz o większości.

Nie narzekajmy przeto na lekceważenie nas i obojętność, bo to są nasze codzienne grzechy. Nie Warszawa tu winna — my winniśmy; nie do Warszawy zwracać się ze słowami pokory: miły jeżu, nie kól, lecz do nas samych, naszych obowiązków i praw. My, cośmy powinni stać na czele narodu i na czele stawia nas historya literatury, dobrowolnie wleczemy się na ogonie życia, pozwalając burmistrzować nieraz na nasz rachunek, żwawym kiełbikom, uwijającym się pośród nas — za pożywieniem.

Dr. K. Ostaszewski-Barański.

Św. ANNA
patronka miasta Lwowa.

Pisano wówczas rok Pański 1524.

Ratusz lwowski, jak przedtem, tak jeszcze i długo potem był przybytkiem porządku, rozumu i sprawiedliwości. Sądownictwo i administracya miejska były mądre i uczciwe, budziły też zaufanie nietylko mieszczan, ale i szlachty. Słynęły wyroki rajców i ławników lwowskich z bystrości; szlachta, a nawet senatorowie w sprawach cywilnych z nieszlachtą odstępowali *a foro suo* i zdawali się na sąd ratuszowy.

Panujący książęta, jak hospodarowie wołoscy, elektorowie brandenburscy, a nawet sułtan turecki, z ufnością i szacunkiem powierzali rozsądzenie spraw, dotykających ich samych osobiście, lub ich poddanych, rządowi konsularnemu.*)

A więcej nadto: ratusz ten był siedzibą niezachwianej wierności dla Rzeczypospolitej i wiary św., przybytkiem męstwa iście przykładnego.

W czasie, o którym mówimy, rządzili tam potomkowie rodów Abreków, Gieblów, Kochnów, Mikułków, Tyczków, Wilczków etc., których dziadowie już w początkach XV. wieku zaszczyty miejskie posiadali i obowiązki swe wobec grodu i kraju pilnie i wiernie spełniali. Na stolicy arcybiskupiej siedział Bernard Wilczek, króla zaś reprezentował Mikołaj Odonowski starosta. Pierwsza część XVI. w. nie była wcale spokojną: raz po raz jakaś klęska większa, lub mniejsza, spadała na nasz gród. W roku 1509 musiał on wytrzymać srogie trzydniowe oblężenie przez Bohdana, hospodara wołoskiego, w 1511 pożar tak zniszczył miasto, że król na lat sześć uwolnił je od wszelkich danin. Smutnym był rok 1514, w którym Pełtew wystąpiła tak silnie z brzegów, że nie brakło

*) Acta Consul. z r. 1546; Histor. Archep. Leopol Wł. Łoziński Patrycyat i mieszcz. lwowskie.

licznych ofiar w mieniu i ludziach; zaledwie zaś usunięto ślady tej klęski, zjawili się Tatarzy i całą okolicę, a przedewszystkiem przedmieścia, doszczętnie spalili. A co roku prawie wisiało nad miastem widmo tatarskiego najazdu, gdyż w owym czasie byli oni niemal stałymi gośćmi na Rusi. Niedziw więc, że obywatelstwo było, jakoby w gorączce, zwłasza, gdy pokazało się, że Wołosi i Tatarzy nawet *intra muros* mieli pono swych ajentów, którzy w razie napadu mieli w mieście wywołać pożogę.

W r. 1515 w niedzielę św. Marcina spalono nawet na stosie chłopa, Rusina, który miał przyznać, że z namowy Wołochów postanowił podpalić miasto.

Nietylko jednak obawiano się: miasto miało dosyć energii i siły, ażeby się bronić, to też gdy napady tatarskie stały się coroczną klęską, wzięto się w r. 1522 do reparacyi i naprawy baszt i murów, które znakomicie wzmocniono.

Z początkiem lipca 1524 przyszły pewne wieści o Tatarach, którzy znów Ruś nieszczęsną najechali, gospodarząc w niej ogniem i mieczem. W dniu św. Jakóba, tj. 25. lipca, zagony ich stanęły pod Lwowem, wytyczając obóz od Zboisk po Malechów. Pod wieczór około 400 tatarskiej jazdy napadło na przedmieścia, a dzielna młódź lwowska wyszła na harce *„praeludia belli. ca“*...

W nocy zajaśniały w obozie tatarskim niezliczone światła, które stanowiły dobry cel dla wprawnych puszkarzy, to też Tatarzy szukali miejsc poza obrębem kul miejskich. Oddziały ich ciągnęły od Zboisk przez winnice i góry kleparowskie na pola za św. Jurem, gdzie rozłożyli się obozem. Ale i tu utrzymać się nie zdołali — że zaś im więcej na jasyrze i łupach zależało, niż na niepewnem miasta dobywaniu, przeto wieczorem 26. lipca, w dzień św. Anny, spaliwszy poprzód przedmieścia, pociągnęli dalej.

Rada miasta dała nazajutrz po trzy grosze na trzy wotywy i uroczystą uchwałą ogłosiła św. Annę szczególniejszą patronką miasta.*)

Od tego czasu, aż do lat ostatnich przed rozbiorem Ojczyzny, dzień św. Anny obchodzony był uroczystem nabożeństwem w kościele, Jej czci poświęconym, a pozostającym pod opieką i prowizorstwem cechu krawieckiego. Cech ten opieką zaszczycony został *ex re* następującego zdarzenia: Z końcem XV. wieku, prawdopodobnie około 1494, zawrzał we Lwowie wypadek pierwszego, znanego nam strajku. „Spiknęła się — mówi kronikarz — czeladź i chłopcy krawieckiego rzemiosła przeciwko swym majstrom, zapewne albo o małą zapłatę, lub też o złe obchodzenie się i zebrawszy się w nocy, opuściła miasto, chcąc w inne udać się strony.

„Straż miejska, nocna, w cepy żelazem okute uzbrojona, zaskoczyła ich w tem miejscu, gdzie kościół stoi i chciała zatrzymać. Przyszło do oporu i walki, w której kilku czeladzi cepami zabito i w tem to miejscu pogrzebiono. Gdy później czeladnicy, którzy w tej to walce udział mieli, na majstrów wyszli, pamiętając na owe zdarzenie, a chcąc podziękować Panu Bogu, że ich przy życiu zachował, postanowili na pobojowisku i mogiłach kościółek postawić“... W r. 1507, stanął tedy kościółek z drzewa, a gdy 1509. spalili go Wołosi, odbudowano później z cegły i kamienia.

*) Lib. 1076. p. 493. Zubrzycki, Kronika miasta Lwowa p. 147 Patrz t. ks. Chodyniecki.

W tym to kościele przez 250 lat zgórą urządzał cech krawiecki corocznie w dniu 26. lipca solenne nabożeństwo ku czci Św. Patronki naszego miasta. W obchodzie tym brały udział oba „senaty“ (radcy i ławnicy) a później i czterdziesto-mężowie, pisarze i syndyk, cechmistrze i przełożeni korporacyj, nauczyciel szkoły farnej wraz z młodzieżą...

Z upadkiem kraju ustał i ten zwyczaj, który tak pięknie świadczy o prawdziwej, głębokiej i szerszej wierze i pobożności ojców naszych*).

*) W chwili, gdy notatka ta była już w druku, dowiadujemy się, że korporacya krawiecka na posiedzeniu dnia 11. b. m., za inicyatywą przewodniczącego p. Mikulińskiego, postanowiła ten obchód wskrzesić. Odbędzie się on 26. b. m.

Z KRAJU.

Ze wsi.

Jako nowo zaciężny prenumerator i korespondent, na wstępie wytaczam wojnę szan. Redakcyi. Numeru z 1. lipca nie otrzymałem wcale. Prenumeratę zapłaciłem, wedle życzenia, zgóry, więc numer jest moją własnością; powtóre jestem ciekaw, „co w nim stało“, a po trzecie (panie administratorze!) wymaga tego porządek. U nas, na wsi, jest zwykle jeden pokoik, przeznaczony na bibiotekę, gdzie na dużym stole mieści się kilka czasopism według numerów porządkowych. Pamiętam pewnego, dziś już nieżyjącego, prenumeratora czerniowieckiej *Gazety Polskiej* na Bukowinie, który przez cały miesiąc składał pilnie numera i następnie odczytywał je naraz.

Ja jednak w taki sposób nie zwykłem czynić, ale że jestem zwolennikiem ligi pokojowej, odkładam ostre pióro i pragnę łagodnie pisać o czem innem.

O czem? O biedzie wiejskiej świegocą wszystkie wróble, będące w tej chwili równie. jak „obszarnicy“ w wielkich kłopotach. Mieszkańcy miast myślą sobie: kłosy dojrzewają, rozpoczyna się żniwo, będzie plon obfity, niema to, jak na wsi! „Obszarnik“ ma zadarmo mieszkanie, ogród warzywny, sad, owoce, jagody, ryby, świeże powietrze, spacer do lasu, kąpiel, odwiedziny sasiada, partyjkę whista o każdej porze, a oprócz Pana Boga i pana inspektora podatkowego, nikogo zresztą nie potrzebuje respektować. A tymczasem przybądź tu (jeżeli się dostaniesz przez jeziora i topiele), zacny mieszczuchu i spojrzyj na tę rozkosz! Co prawda, zażyliśmy kąpieli aż do przesytu, dzięki sprzymierzonym ruczajom i rzekom galicyjskim, co nam spłukały pola, no, i kieszenie bez krążowników i bez dział Maxima. Dzięki nieuregulowanej regulacyi rzek, dzięki wielkopaństwowej polityce Koła polskiego w Wiedniu i dzięki tym wysokim czynnikom, co stale „sprzyjają krajowi“, tysiącom ludzi grozi klęska głodowa. Zamulone i zachwaszczone pola, po opadnięciu wody, wydzielają okropną woń zgnilizny, a tam, gdzie szumiał łan złotej pszenicy, żaby dziś urządzają koncerta. Mieszkania uszkodzone, inwentarz żywy bez pastwisk i bez suchej paszy na jesień, a rolnik, zrozpaczony bezradną „akcyą ratunkową“ władz opiekuńczych, stoi wobec zagadki, w jaki sposób pokryć deficyt w budżecie. Tak to wygląda ów raj wiejski od Sącza, wzdłuż Dniestru aż do Pokucia.

Jest dzisiaj trocha hałasu w dziennikach, ale te „aktualne“ artykuły rychło pójdą w niepamięć. Minie lat parę, przyjdzie nowa powódź i znowu posypią się artykuły — z tym samym skutkiem. Czytałem, że Chińczycy znoszą podobne klęski biernie, spokojnie i bez hałasu. Dalibóg, mądry naród! Skoro u nas i u nich następstwa te same, tj. nic się nie robi, to, czy nie szkoda do klęski powodzi dopłacać jeszcze psuciem piór, papieru, czcionek, własną irytacyą i głośnemi żalami?

Nie łudźmy się przeto „regulacyą“, bo jeżeli jaka będzie, to chyba ta, że uregulujemy resztki ksiąg gruntowych i tabuli krajowej, a zarazem przestaniemy używać tak znienawidzonego miana konserwatystów, bo nie będzie, coby konserwować.

Gdy to piszę, przez otwarte okno z pól, z których naprzód już sprzedałem dojrzewającą śp. pszeniczkę, zalatuje mnie woń obrzydliwa błota i monotonny koncert żabiej kapeli. Po czciwe żabska perswadują mi widocznie, bym się nie martwił stratą. I słusznie. Niechaj się martwi p. Izrael Süsskind, który już nie ujrzy kupionej pszenicy, a swe pieniądze chyba — przy parcelacyi majątku... Doprawdy, ta powódź to straszliwa — antysemitka! — X.

Wiadomości bieżące.

× **Dla powodzian w Galicyi** ofiarował cesarz z prywatnej szkatuły 10.000 koron.

× **Minister dr. Piętak** bawi obecnie w Zakopanem.

× **Na kongres prasy w Paryżu** zamianowało Tow. dziennikarzy polskich we Lwowie delegatami swymi pp.: wiceprezesa K. Skrzyńskiego, oraz: A. Inlendera, K. Kucharskiego i L. Masłowskiego.

× **Ibsen chory.** Z Chrystyanii donoszą, że stan chorego H. Ibsena w dniach ostatnich pogorszył się znacznie i zachodzi obawa katastrofy.

× **W krakowskiej Akademii sztuk pięknych** odbyło się 19. bm. rozdanie nagród.

Prace uczniów wskazują na ogromny rozwój szkoły, mimoto przyznano tego roku mniej medali, szczególnie srebrnych i dano je tylko za najwybitniejsze prace, chcąc podnieść skalę znaczenia tej zaszczytnej odznaki i wymogów do niej stawianych.

Wynik jest następujący:

I. Szkoła malarska Axentowicza, otrzymali: medal srebrny Gustaw Pilati; medal brązowy Wład. Przybytniowski.

II. Szkoła malarska prof. Wyczółkowskiego: medal złoty Aleksy Nowakowski za studya; medal srebrny Józef Kuryłas; medal brązowy Bolesław Bojko.

III. Szkoła malarska prof Cynka: medal srebrny Kazimierz Staszewski; medal brązowy Zygmunt Żelesławski i Filip Demczuk;

IV. Szkoła krajobrazów prof. Jana Stanisławskiego: srebrne Bolesław Bojko i Stanisław Kamocki; brązowy Jan Buraczek.

V. Szkoła rysunków prof. Unierzyskiego: brązowe Piotr Krasnodębski, Stanisław Goldfinger, Stanisław Bukowski, Antoni Paczowski i Fryderyk Pautsch.

VI. Szkoła rysunków prof. Malczewskiego: brązowe Stanisław Czajkowski i Stanisław Pichor.

VII. Szkoła rzeźby prof. Laszczki: srebrne Jan Szczepkowski i Bolesław Biegas (ostatni jako nagrodę za kompozycye); brązowe Józef Schebesta i Władysław Rudlicki.

Opust podatku. Kraj. dyrekcya skarbu ogłasza, że w roku 1900 nastąpi opust w wysokości 15 prc. od przepisanego na ten rok podatku gruntowego, a $12\frac{1}{2}$ prc. od przepisanego na ten rok podatku domowego, z wyją-

tkiem podatku 5 prc. od dochodu z budynków, od tegoż podatku uwolnionych. Opust ten obliczony będzie tylko co do rządowej należytości podatkowej, z wyłączeniem dodatków autonomicznych i zapisany zostanie w książeczkach podatkowych, względnie w nakazach płatniczych na te podatki, po obliczeniu opustu przypadającego za rok 1900 na każdego poszczególnego kontrybuenta. Kiedy uwidocznienie to będzie mogło nastąpić, o tem urzędy podatkowe zawiadomią osobnemi obwieszczeniami.

× **Kolonie letnie.** Po raz czternasty z rzędu wyjechała ubiegłej niedzieli krajowa kolonia lecznicza dziatwy szkolnej ze Lwowa do Rymanowa pod przewodnictwem dr. J. Żulińskiego. Kolonie letnie przyjęły się u nas i rozwijają się wybornie.

W Galicyi, oprócz stu Towarzystw i komitetów, z których sześć ma siedzibę we we Lwowie, a jeden w Krakowie, istnieją jeszcze prowincyonalne. Ze Stanisławowa corocznie kolonia kolejowa mieści w Worochcie 50 dziatwy, sezon tam trwa 6 tygodni. Kraków posiada osobną kolonię leczniczą (szpitalik) w Racie i drugą dla dzieci anemicznych w okolicy.

Ze Lwowa wyjeżdża w bieżącym roku 774 dziatwy, z tego 389 chłopców, 385 dziewcząt. Do Bruchowic wyjeżdża 50 chłopców, 80 dziewcząt (na 2 sezony po 3 tygodnie); do Hrebenowa 84 chłopców (na 2 sezony po 3 tygodnie) do Morszyna 80 dziewcząt (na dwa sezony po 3 tygodnie), do Tuchli 100 chłopców i 100 dziewcząt (na 2 sezony po 4 tygodnie), do Rymanowa 65 chłopców i 65 dziewcząt (na 1 sezon 5 tygodniowy), wkońcu do Korczyna (kolonia izraelicka) 60 chłopców i 60 dziewcząt (na 2 sezony po 3 tygodnie).

Działalność komitetów lwowskich jest godna zaznaczenia, gdyż z rokiem każdym liczba przyjętych kolonistów i kolonistek się zwiększa, ale z drugiej strony brak pomocy publiczności, na jaką instytucye te, mimo licznych próśb, liczą, bo nie mają nigdy środków podostatkiem. Jedyna w kraju lecznicza kolonia rymanowska mogłaby więcej proszących niż 130 przyjąć, niestety brak funduszu staje biednym istotnie na przeszkodzie. Oprócz wydatków, jakie ponoszą wszystkie kolonie, rymanowska opłaca kąpiele i leczenie, same kąpiele wynoszą przeszło 1000 zł.

TEATR.

J. Bylczyński.

Opera.

Występy Wł. Florjańskiego.

Przyjechał — zaśpiewał — i dokonał cudu: bo oto, w skwarne dni lipca wypełnia się widownia teatru coraz liczniej publicznością, która wchłania w siebie ton każdy, każde słowo genialnego śpiewaka i artysty. Tym śpiewakiem jest Władysław Florjański. Obdarzony od natury głosem o pięknem, metalicznem brzmieniu, o niezwykłej, wprost zdumiewającej wytrzymałości i czystości, dopełnił reszty własną pracą i genialną intuicyą. W pierwszym rzędzie podziwiamy u niego świetną emisyę głosu, która pozwala mu bez znużenia szafować materyałem głosowym, nawet w najbardziej forsownych partyach i artystyczne opracowanie każdej kreacyi. Niema tu gonienia za jakimś chwilowym efektem, niema chęci olśnienia zewnętrznemi warunkami, lecz przedewszystkiem wniknięcie w charakter postaci odtwarzanej i konsekwentne wykończenie, do możliwie najdalszych granic, podjętej roli. Tym razem mieliśmy sposobność słyszeć go w pięciu partyach, które zaliczamy do najlepszych w bogatym repertoarze znakomitego gościa. Eleazar, Jontek, Dalibor, Turiddu, Canio — jakżeż wielka różnica między temi postaciami! A jednak Florjański umiał w każdej uderzyć we właściwy ton, nadać jej odrębny koloryt i dać nam kreacyę wykończoną pod każdym względem. W „Żydówce“ zachwycił nas świetnie frazowaną aryą aktu IV. (niestety, bez drugiej części), w „Halce“ wzruszał mistrzowsko odśpiewaną aryą: „I ty mu wierzysz“, w „Daliborze“ rozmarzał liryzmem czeskiego bohatera, w „Cavallerii“ i „Pajacach“ porywał iście nowowłoskim weryzmem w odtworzeniu obu partyj.

Wyborną partnerką p. Florjańskiego była pani Kasprowiczowa, która nigdy jeszcze w grze i w śpiewie nie zawiodła naszych oczekiwań. Do uświetnienia dwu wieczorów przyczynił się p. Szymański, zawsze mile witany na scenie. Inne partye znalazły sumiennych wykonawców w pp. Skalskiej, Schuppównej i w pp. Boguckim, Malawskim i Kiczmanie. Uznanie należy się także parze debiutantów, pannie Chulawskiej i p. Jelińskiemu. Pierwsza, poprawna scenicznie, nie zadowoliła nas głosowo, w drugim witamy piękny materyał, wymagający jednak długich studyów. Całość przedstawień szła dość gładko pod batutą. p. Jareckiego, chóry tylko nie zadowoliły skromnych nawet wymagań.

Repertoar teatru hr. Skarbka:

W niedzielę, 22. bm. „Dalibor“, wielka opera historyczna w 4 aktach Smetany. Ostatni występ Wł. Floryańskiego.

W poniedziałek, 23. bm. nie będzie przedstawienia.

We wtorek 24. bm. po raz pierwszy: „Sposób na mężów“, operetka w 4 aktach z baletem, Marsa i Hennequina. Muzyka Wiktora Rogera.

W środę, 25. bm. „Sposób na mężów“.

W czwartek, 26. bm. „Sposób na mężów“.

W piątek, 27. bm., niema przedstawienia.

W sobotę, 28. bm. „Sposób na mężów“.

TYDZIEŃ EKONOMICZNY.

Sprzedaż Schodnicy dotychczas jeszcze nie przyszła do skutku, albowiem grupa kupujących żąda dalszej prolongaty opcyi. Kasa oszczędności zgadza się na to, jednak żąda złożenia kwoty, co do wysokości której toczą się jeszcze układy. Jutro, w poniedziałek, strona kupująca ma dać odpowiedź kategoryczną.

Ankieta drzewna. W ostatnich dwóch dniach tygodnia obradowała w Wiedniu pod przewodnictwem prezesa Izby lwowskiej p. Piepesa-Poratyńskiego ankieta w sprawie cła od drzewa i towarów drewnianych, przy bardzo licznym udziale ekspertów.

Referat prowadziły częścią krakowska, częścią wiedeńska Izba handlowa i przemysłowa.

Kwestya sposobu oclenia drzewa była przedmiotem bardzo długiej i ożywionej dyskusyi. Kwestya ceł eksportowych i importowych dla drzewa i towarów drewnianych wywołała ożywioną kontrowersyę, gdyż prawie wszystkie grupy interesentów stawiały swe wnioski i formułowały swe zdania. Zastępcy całego szeregu korporacyj przemysłowych, stolarzy, tokarzy i innych, wyrazili również rozmaite życzenia w interesie drobnego przemysłu.

Kontyngent spirytusowy. *Wiener Ztg.* ogłosiła 21. bm. rozporządzenie cesarskie, dotyczące uregulowania indywidualnego rozdziału kontygentu alkoholu. Rozporządzenie to jest koniecznem zarządzeniem z powodu, iż kończy się termin, do którego uregulowanie to zostało unormowanem. Rozporządzenie jest zgodne z projektem rządowym, przedłożonym Izbie po słów, tam jednak niezałatwionem i nie stwarza dalszego prowizoryum, lecz definitywne uregulowanie tej kwestyi aż do roku 1908, tak w interesie rolniczej produkcyi spirytusu, jak też ze względu na wielką ilość nowopowstałych gorzelni rolniczych. Rozporządzenie odpowiada rezultatom ankiety, odbytej w tej sprawie w ubiegłym roku.

Iskierki.

Na czasie.

Na Powązkach, na znanym cmentarzu
[w Warszawie,
Stoi pomnik z marmuru, w samym środku
[prawie,
A na nim po rosyjsku napis jest wyryty,
Że „zmarły był przy szturmie Warszawy zabity“.
Ktoś, zwiedzając ów cmentarz, dodał na kamieniu
Myśl bardzo trafną w treści, choć trywialną
[w brzmieniu:
„Tu leży ś..... niesyta,
„W cudzym ogrodzie zabita“.
Zapytacie mię pewnie, po co ja to piszę?
Wspomnienie wywołały krzyki, które słyszę
Na Chińczyków, broniących swoich własnych
[śmieci,
Grobów ojców, ojczyzny i mienia swych dzieci.
Wszak i na nich napadło także stado całe,
Któremu w domu własnym wszystko jest
[zamałe...
Niechże się teraz parzą nawarzoną kaszą!....
A czyż to nie tak było i z Ojczyzną naszą?

NADESŁANE.

Sprawozdanie Banku rolniczego. Lwów dnia 20. lipca 1900 r. (Waluta koronowa).

Dziś notujemy za 50 klg. loco Lwów.

Pszenica gotowa 7·40 do 7·60, na termina —·—

Żyto gotowe 5·60 do 5·80, na termina —·—

Owies obroczny gotowy 6·25 do 6·50.

Jęczmień pastewny 5·75 do 6·—, browar. 6·— do 6·25.

Rzepak 11·25 do 11·50, nowy —·— do —·—, groch pastewny 6·50 do 7·50, do gotowania 8·25 do 12·—, wyka —·— do —·—. bobik 5·90 do 6·25, hreczka 8·— do 8·50, kukurudza nowa —·— do —·— stara 6·50 do 6·75, chmiel za 56 kilo —·— do —·—, koniczyna czerwona —·— do —·—, biała —·— do —·—, szwedzka —·— do —·—, tymotka —·— do —·—, spirytus paritas Tarnopol gotowy 18·75 do 19·50, spirytus na termina 16·75 do 17·50.

Usposobienie niezmienne.

DROBNE OGŁOSZENIA.

Restauracya Jana Nowakowskiego we Lwowie, w hotelu Francuskim, plac Maryacki, poleca znakomite potrawy i trunki.

W Lesienicach (browar) restauracya Konstantego Kobylskiego poleca wyborną kuchnię i piwo.

Dwór Łapszyn, poczta Brzeżany, poleca buljon od 10 do 20 koron za kilo, półgąski litewskie kilo 4 korony, bryndza górska za 5 kilo 4 kol. 56 hal.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym. (7302-st.-10)

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

APTEKA w Gródku

ma do zbycia:

	K.	h.
1. Fol. althaeae . . kilo	—	60
2. „ Salviae . . „	—	70
3. Herba Centauri . . „	1	—
4. „ Menthae pip. . „	1	—
5. Flor chamom. vulg. . „	1	—
6. Rad Galangae . . „	1	—
7. „ Gentianae . . „	1	20
8. „ Althaeae . . „	1	60
9. Herba equiseti . . „	—	60
10. Waselina żółta . . „	—	90
11. „ biała . . „	1	60
12. Rury gumowe białe do irrigatorów metr . . .	—	90
13. Rury gumowe czerwone do irrigatorów czarne metr .	1	60
15. Irrigatory kompletne od .	2	80
16. Bawełnę odtłuszczoną chem. czystą kilo . . .	2	60
17. Aparat do inhalacyi, sztuka	3	60
18. Kwas karbolowy czysty kilo	4	49
19 „ „ surowy kilo	—	70
20. Wapno karbolowe do desinfekcyi kilo	—	30

21. Wszelkie wody mineralne krajowe i zagraniczne.
22. Wszelkie sole zdrojowe do zażywania.
23. Wszelkie sole zdrojowe do kąpieli taniej, jak w innych składach wód mineralnych.
24. Specyfika francuskie tuzin od 2 K.
25. Perfumy i mydła krajowe i zagraniczne, jakoto: francuskie, niemieckie i angielskie
26. Wina stołowe i lecznicze, koniak francuski i węgierski.
27. Cacao, herbatę rosyjską.
28. Wszelkie środki lecznicze, specyficzne, dietetyczne i uniwersalne po cenach najumiarkowańszych.

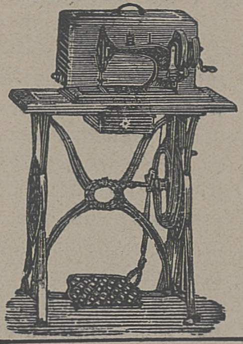
Założony w roku 1795

BROWAR MIESZCZAŃSKI

w Budziejowicach (Budweis)

zawiadamia niniejszem, iż w restauracyi p. N. Arnolda, Rynek 39., obok sklepu Wgo Hübnera, jest do nabycia na szklanki wprost z beczki piwo, oraz w butelkach. Również można dostać w każdym czasie gorące i zimne, doskonałe przekąski.

Lokal ten otwarty do godziny 1-szej w nocy.



Handel towarów żelaznych, metalowych i wyrobów nożowniczych.

KAROLA HAUSWALDA

w Stanisławowie

poleca główny skład maszyn do szycia poprawnych **SINGERA** i innych systemów pod gwarancyą po cenach przystępnych na raty miesięczne, za gotówkę 10% opustu, jakoteż kasy ogniotrwałe.

Handel A. Hawełki

Kraków

poleca towary kolonjalne, wszelkie delikatesy polskie, francuskie, angielskie, włoskie i amerykańskie.

Kompletne dostawy dla rautów, bankietów i wesel. — **Gabinety** dla zebrań towarzyskich.

Telegram: *Hawełka, Kraków.* — Telefon 330.

KSIĘGARNIA WILHELMA ZUKERKANDLA

w Złoczowie (Galicya)

poleca swoją

„Bibliotekę powszechną“.

Najpopularniejsze to i najtańsze wydawnictwo polskie zostało nagrodzone **srebrnym medalem** na Wystawie krajowej we Lwowie.

Dotychczas wyszło **310** numerów.

Pojedynczy numer kosztuje **24** halerzy — **12** centów.

Każdy tomik można osobna nabyć na składzie we wszystkich księgarniach. — Katalogi darmo i opłatnie.

Najnowsze numera zawierają:

301. **Łoziński**, *Opowiadania humorystyczne.*
302. **Sue**, *Nowele.*
303. **Szajnocha**, *Szkice historyczne.* II. Matka Jagiellonów. Brody krzyżackie.
304 **Tołstoj**, *Potęga Ciemoty.*
305-309. **Łoziński**, *Czarny Matwij.* Powieść.
310. **Szajnocha**, *Szkice historyczne.* III. Jan Sobieski banitą i pielgrzymem. Wnuka króla Jana III.

L. Zieleniewski w Krakowie

c. k. uprz. Fabryka maszyn, odlewarnia i kotlarnia

założona w r. 1848

Dostarcza: wodne stacye, pompy, zbiorniki żelazne, maszyny i kotły parowe skowane, narzędzia wiertnicze, aparaty desynfekcyjne; buduje: gorzelnie, browary, młyny, tartaki, fabryki cykoryi, cementu, krochmalu; wykonuje: konstrukcye żelazne, dachy, balkony, schody, cieplarnie, kwiaciarnie, pompy, rury, kolumny, kominki, sztakiety, krzyże etc.

Cenniki i kosztorysy darmo i opłatnie.

Nowo otworzony

ODDZIAŁ MELIORACYJNY LWOWSKIEJ FILII

BANKU GAL. dla HANDLU i PRZEMYSŁU

ul. Jagiellońska 3.

wykonywa wszelkie prace melioracyjne, jako to: zdjęcia planów, wygotowania kosztorysów do drenowania pól, nawodniania i odwodniania łąk, budowy rowów, kanałów, dróg, szos, kolejek etc. etc. i poleca się do praktycznego przeprowadzenia tych prac.

Finansowanie uskutecznia się podług każdoczesnej szczególnej umowy.

(125-6-1) **DYREKCYA.**



Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.